

BIBLIOTECZKA ŻOŁNIERZA
KORPUSU OCHRONY POGRANICZA

Nr. 17

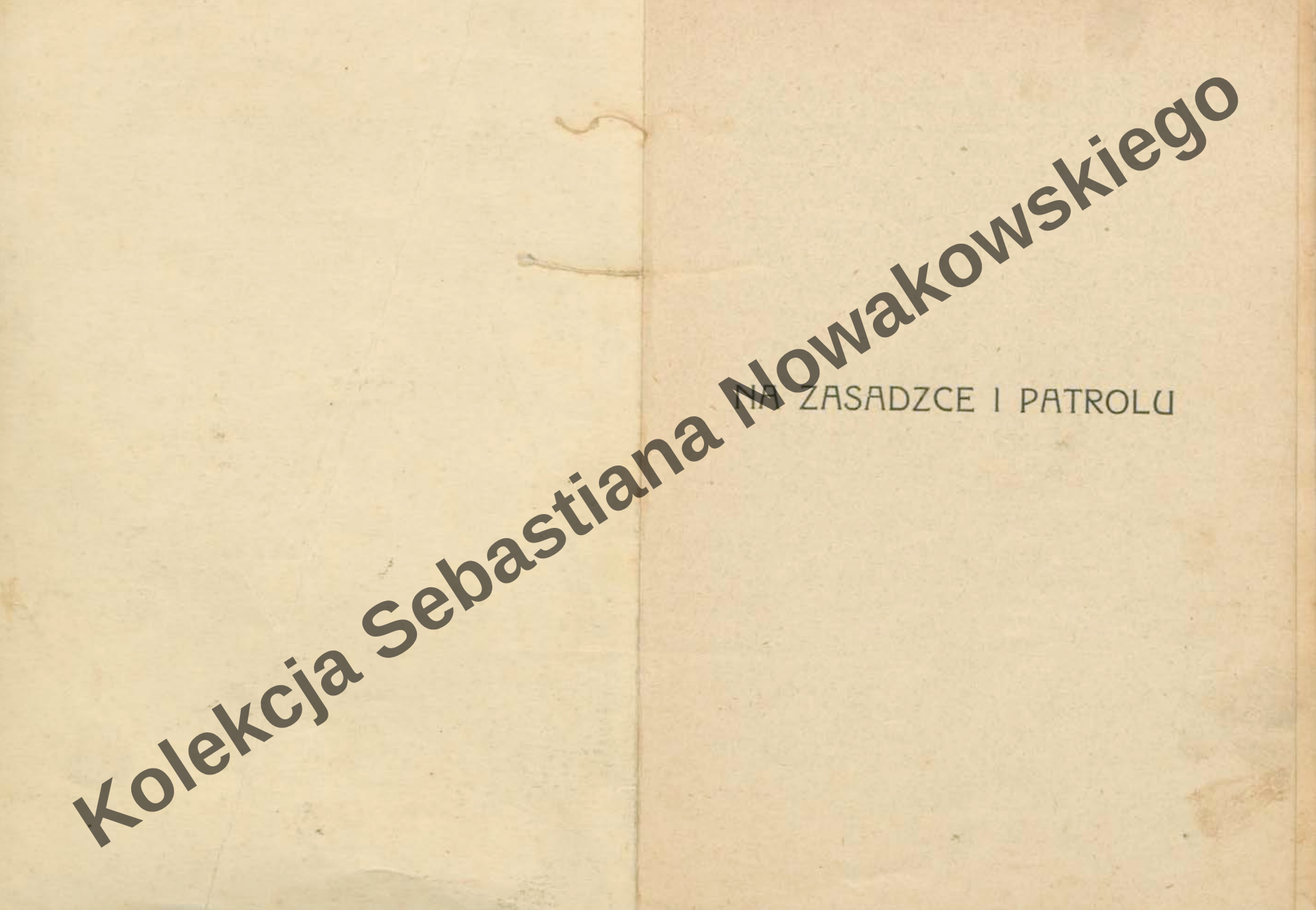
2044

KONRAD
JOTEMSKI

a Sebastiana Nowakowi

NA ZASADZCE PATROLU

WARSZAWA 1937



Kolekcja Sebastiana Nowakowskiego

NA ZASADZCE I PATROLU

BIBLIOTECZKA ŻOŁNIERZA
KORPUSU OCHRONY POGRANICZA

Nr. 17

KONRAD JOTEMSKI

NA ZASADZCE
I PATROLU

Korp. Ochr. Pogranicza
Centrala Biblioteczna
Baonu „Dawidgródek”

WARSZAWA

1 9 3 7

ŚLAD

Kiedy nad ranem strzelec Saturnin i Grzymalak wyszli ze strażnicy, udając się na zasadzkę, wiatr zmienił się na północno-wschodni. Znali ten wiatr: nadlatujący z bezkresnych równin rosyjskich, przynosił ze sobą śniegi i mrozy.

Podobnie i teraz. Wilgoć, którą było przesycone powietrze, ściał w drobne, lodowate kryształki, w sadz. srebrzącą drzewa i przykrywającą delikatnym puchem szybko tężejące październikowe błoto. Las był niedaleko, lecz zanim doń doszli, zaczął padać gęsty śnieg. Ciął nielitościwie w twarz, zalepiał oczy, zacierał zarysy wszystkich przedmiotów. Kiedy stanęli na chwilę, zdawało się, że wiatr, który sfolgował nieco między drzewami lasu, huśta się na wierzchołkach drzew, dołem zaś panowała cisza tak wielka, iż — rzekłbyś — słysząc jeno delikatny szmer opadających na ziemię niezliczonych śnieżynek.

— Mieszkam opodal sosnowego zagajnika, który przechodzi w stary bór — powiedział strzelec Saturnin, pochylając się ku swemu koledze, jak gdyby bał się spłoszyć wielką, panującą tu ciszę. — W tym roku pod

jesień zauważyli nasi, że igliwie na sosnach coś jakby żółknie. A kiedy przyjrzeni się lepiej, dostrzegli, że niektóre gałązki obsiadły zielone liszki. Są zabawne, bo kiedy zaniepokoisz je, podnoszą do góry swój żółty łeppek, jakby się czemuś dziwiły bardzo. Zarazem są obrzydliwe, bo jest ich tyle... Całymi pękami obsiadają igliwie, objadają je aż do włókien, a potem przenoszą się dalej. Takie drzewo wygląda naprawdę żałośnie. Otóż kiedy poszedłem do starego lasu, to wydawało mi się, że jest wypełniony takim samym szmerem, jak dziś od padającego śniegu. Być może tylko zdawało mi się, że słyszę szelest nieprzeliczonej ilości tych liszek, niszczących las.

— A jak zwalczaście te liszki? — zainteresował się Grzymalak.

— Właściwie to jakież było zwalczanie... Kto miał żachelek zagajnika, a był dobry gospodarz, to obierał te liszki, jak mógł, rzucał je kurom lub zalewał wrzaskiem, ale w wielkim lesie nie będziesz przecie łaził po sosnach... Gajowy mówił, że trzeba by spryskiwać, ale skąd małorolnemu do takich rzeczy...

— No i co?

— No i nic. Zima w tym roku, chwała Bogu, wczesna, wyginą same.

— A w moich stronach — podjął Grzymalak, — bo ja spod Płońska, z parafii kryskiej, w moich stronach lasów w pobliżu nie ma, o drzewo trudno. Palimy tor-

fem, bo węgla nie dokupi się, albo gałęziami. Sadzi się przy drogach, na miedzach, specjalny gatunek szynki rosnącej wierzby, topoli i co parę lat gałęzie się przycina. Drzewo trza oszczędzać, drzewo u nas drogie...

— A budujecie się z czego?

— Z cegły albo z polnego kamienia. Kamieni to u nas po polach nie brak. Na wszystkie drogi w całym województwie by starczyło. Ale drzewo, hej, żeby to u nas takie bogactwo w drzewie, jak tutaj. Nieraz aż serce boli, kiedy widzę, jak gnije tego tyła...

— Lichota to, nie oplaci się wywóz. Furmanka, robotizna, kolej...

— Unikli obaj, bo już zbliżali się do celu.

Stanowisko zasadzki było na skraju lasu. Grzymalak ulokował się między dwoma krzewami rozłożystego jałowca i chwalił sobie to miejsce: było tu przytulnie, ciepło, krzewy zaś dawały doskonałą osłonę przed niepowołanym okiem, podczas gdy on sam miał przed sobą cały teren jak na dłoni. Saturnin natomiast stał za sędziwą brzozą i podwiewało go rzetelnie ze wszystkich stron. Zimno było sakramenckie, to też dość często z niejaką zazdrością spoglądał w kierunku kolegi: ten-ci ma zawsze szczęście, chociaż nie można powiedzieć, aby zbyt często się przejmował służbą...

Zimno było, to prawda, ale stan ten ani w przybliżeniu nie dał się przyrównać do tego, co było przed kilkunastu laty, podczas walk o obecne granice Polski.

Opowiadał mu brat, ochotnik z 1918 roku, jak to szli w pole w lichych „pokrzywowych” płaszczach, w łatanych butach i z karabinami — każdy batalion innego systemu...

Opowiadał o swojej pierwszej czujce. Była noc i zamieć jak dzisiaj. Rozespanego rozprawdzający postawił w odległości kilkuset metrów przed wsią, gdzie był rozkwaterowany batalion, i powiedział: „A uważaj, Saturnin, jak nawalisz, bracie, to wyrzną nas jak baranów”. Uważał więc, wytrzeszczając oczy aż do bólu, aż do łez. Czas dłużał się (jak dziś), minuty zamieniały w kwadranse, kwadranse zdawały się być godzinami. Wiatr hulał po polu, tarmosił czerniejące opodal krzewy. Zresztą, czy to są krzewy? Poruszają się przecie... Ochotnik Saturnin mocniej ścisnął karabin i siłą powstrzymał się od przemożnej chęci wystrzelenia w kierunku krzaków. A jeśli to tylko krzewy, a on zaalarmuje batalion, wyrwie kolegów z zasłużonego spoczynku? Wywoła strzelaninę? Zdradzi nieprzyjacielowi pozłokowanie własnych placówek?

Wiatr mocniej szarpnął gałązki krzaków. Wydawało się, że jakieś zgięte postacie, obciążone plecakami, podbiegają chyłkiem. A jeżeli to w samej rzeczy nieprzyjaciel? Jest tak blisko, że po wystrzale wpadnie w trzy minuty między chałupy wsi, między zaskoczonych tym żołnierzy.

Ochotnik Saturnin pocił się ze strachu, targany roz-

terką. Nie czuł mrozu ni wiatru, nawołując się w duchu do spokoju, rozwagi, zimnej krwi... Wreszcie po kilku zdawało mu się, godzinach przyszła upragniona zmiana. Do dziś dnia, a ileż to lat minęło, opowiada z dumą i wciąż żywym jak gdyby zdumieniem o tej niesłychanej odpowiedzialności, ciężącej podówczas na nim, 18-letnim chłopcu.

To nie to, co dziś potężna armia stoi w kraju, żołnierz ma doskonałe mundurowanie i uzbrojenie, a jeśli się czego od niego wymaga na takiej oto zasadzce, to czujnej obserwacji i spostrzegawczości. Tu go postawiono by strzegł granicy państwa. Nie wolno jej przekroczyć ani przemytnikowi, ani — tym bardziej — szpiegowi. To jest całe jego zadanie. Poza tym nie grozi mu nic. Ma pewność, że po odslужeniu pozostałych kilku miesięcy powróci do domu, na gospodarkę. Wesele z Anielką będzie sprawiał...

„Fajna dziewczucha, ta Anielka” — pomyślał uśmiechając się.

Zwolna szarzało. Leniwie przedzierał się przez zachmurzone niebo świt. Na lewo, za krzami jałowca widać było skuloną postać Grzymalaka, na prawo na dnie niewielkiej dolinki pasiasty słup graniczny. Obok niego biegła nieuczęszczana nigdy, zarośnięta chwastami droga. Kiedyś jeździli tędy ludziska do sąsiedniej wsi, dziś tamta wieś należy jakby do innego świata. Powiadali chłopci, że jej mieszkańców, wśród których było wielu

Polaków, wysiedlili bolszewicy daleko, daleko. Może tysiąc kilometrów, może jeszcze więcej. W Rosji przecież miejsca na zsyłkę starczy.

Śnieg padał coraz słabiej. Leciał z góry równiutko, cicho, jakbyś krupy przez przetak odsiewał. A kiedy nadeszła pora powrotu na strażnicę — i wogóle ustał. Zrobiło się na świecie jasno, spokojnie i świątecznie. Matowo-zielone igliwie sosen pięknie kontrastowało z niepokalaną bielą świeżego śniegu. Cisza panowała głęboka. Czasami tylko z gałązki spadała gruda śniegu i gałązka wyprostowywała się jak gdyby z ulgą.

Grzymalak ziewał spazmatycznie i z rozkoszą myślał o tym, jak po powrocie na strażnicę zawałi się jeszcze na parę godzin do ciepłego, miękkiego łóżka. Postawiwszy kołnierz u płaszcza szedł z pochyloną głową, nie zważając na nic, nieczuły na piękno przyrody.

Saturnin, acz ziewał także (to się udziela), rozglądał się uważnie wokoło. W pewnym miejscu gdzieś na drodze szła na pograniczu między borem a zagajnikiem, spostrzegł ślady ludzkie, przecinające ją w poprzek. Grzymalak, który szedł o trzy kroki przed nim, minął ślady, obojętnie idąc dalej. Saturnin zatrzymał się i pochylił nad śladami. Były to odciski butów żołnierskich. Nie miały gwoździ. Były małe i jakby miejskie.

— Ty, Grzymalaku, zaczekaj! — zawołał.

— A czego tam? — burknął tamten, nie zatrzymując się.

— Chodź tu, jakieś ślady...

— No i co z tego? Mało jeszcze śladów spotkasz?

— Chodź, mówię ci. Gdzie się tak spieszysz? Nie zdążysz się wypaść?

Grzymalak, wściekły, zawrócił.

— Diabli nadali znów ślady. Czego „tajniaka“ z siebie zgrywasz?

Spojrzał z góry pobieżnie.

— Pewnie gajowy tędy szedł. Któżby kluczył po lesie bez potrzeby?

— Ślady prowadzą od granicy, a tu, na skrzyżowaniu dróg wahał się zapewne, dokąd iść. Widać, jak deptał w miejscu — mówił Saturnin w zamyśleniu.

— Chodź już chodź, marudo. Jakby tak człowiek chciał za każdym śladem tropić, to nigdyby do strażnicy nie wrócił. No, ja idę.

— To idź w takim razie sam. Powiedz, że ja poszedłem za świeżym śladem.

Grzymalak zaklął. Wiedział, że przecież sam nie może wrócić na strażnicę. Z sierżantem nie przelewki. Klnąc w żywe kamienie wyzywał pod nosem kolegę od „wazeliniarzy“ i jeszcze gorzej, ale szedł za nim. Umyślnie jednak wcale nie patrzył na ślad. Nie chciał się „wygłupiać“, jak mamrotał.

— Gajowy chodzi z psem i nosi okutą laskę — mówił półgłosem Saturnin, lecz tak, aby go słyszał kolega. — Zresztą teraz nie kwapiłby się do lasu. Wie, że

ani kłusownik ani złodziej leśny na ponowę nie wyjdzie...

Ślady nie skręcały jednakże w kierunku gajówki. Omijały ją. Nieznajomy widocznie orientował się w terenie, kierując się ku wsi boczną drogą.

„Jak się wydostanie na trakt — myślał Saturnin, — to gotów się zgubić, zawieruszyć swe ślady pomiędzy innymi, a potem szukać wiatru w polu“. Na wszelki wypadek uważnie przyjrzał się śladom. Obcas na prawym bucie był sztukowany, ale ta drobna naprawka widoczna była tylko wtedy, gdy nieznajomy stąpał po równym miejscu.

Oto i trakt. W odległości ośmiuset metrów widoczna wieś. Dymią kominy. Na trakcie znać ślady. Ktoś jechał wozem w kierunku wsi, inny wracał w przeciwnym kierunku. Nieznajomy starał się stąpać koleiną, ale, schyliwszy się dobrze, można było iść za nim.

W pewnej chwili ślad jego zginął. Dalej go nie było. Saturnin zafrasował się.

— Grzymalak, jak myślisz, chyba wsiadł na jęć, co?

— Ja myślę. Chyba go aniołowie żywcem do nieba nie porwali.

— Ba, ale w którą stronę pojechał?..

Tu Grzymalak rzekł pierwsze rozsądne słowo.

— Jedynie do wsi. Jakże sens miałby powrót w kierunku granicy? Żeby wpaść na nasz patrol?

— Masz rację. Idziemy do wsi.

Weszli powoli między stojące szczytami do drogi

chałupy. W oknach jarzyło się światło, widać było palący się na kominie ogień. Gospodynie przystawiały śniadanie. Po podwórzu krzątały się okutane w ciasty lub kożuchy postacie, oporządzając bydło. Skrzypiały żórawie studzienne. Myczały krowy. Młóz szczypał w policzki, para buchała z ust.

Śladów pieszych na drodze było coraz więcej, ale oni uparcie trzymali się tego jednego, który zostawił wóz. Po kiego licha wyjeżdżał tak wcześniej i czego szukał po nocy za wsią?

Tu myśli. Znać, że brama była otwierana, ale wóz stoi pod szopą, a koń jakby nigdy nie w stajni. Weszli na podwórze.

— Ty, Grzymalak, zaczekaj koło okna. Uważaj dobrze. Ja zajrzę do chałupy.

Zastukał do drzwi i wszedł, schylając głowę. Odrzwia były bardzo nisko, próg wysoki. Podłoga nierówna, gliniana. Małe okienka niewiele przepuszczały światła. W izbie powietrze było ciężkie, przesycone całonocnymi wyziewami ciał ludzkich i dawno niepranych szmat. W rogu pod obrazami stał stół, na nim bochen razowego chleba, skórki od kielbasy, dwa kieliszki i wypróżniona flaszką od wódki. Na szerokiej ławie pod piecem siedział młody mężczyzna, widocznie podniósł się przed chwilą, gdyż marynarka, zwinięta do spania, leżała pod ścianą zamiast poduszki. Z pieca wyglądała kudłata głowa gospodarza.

— Dzień dobry — powiedział Saturnin.
— Dobryj dzień panu — odezwał się niechętnie „chaziain”.

— Gościa macie, co?
— Jakiż to gość? Taż to parobek mój, panie.
— I tak od świtu raczycie się kielbasą i wódką?
— A boż to za swoi hroszy nie wolno?
— Pewnie, że wolno... A dokąd jeździliście tak wcześniej?

— Dokąd jeździł?... — chłop namyślał się chwilę. — Po sieno jeździł panie.

— Hm, powiadacie: po siano? I powiadacie, że to wasz parobek? A dawno on u was?

— Dawno-o-o, panie.

— To sołtys powinien go znać, co?

Mężczyzna na ławie poruszył się niespokojnie.

Strzelec Saturnin stanął w pobliżu okna. Sam był w cieniu, tamtych dwóch widział dokładnie. Nie spuszcza-
jąc ich z oka zastukał w okno, wołając do Grzymały.

— Chybaj no duchem po sołtysa, mien tu przy-
chodzi!

— A wy — zwrócił się do mężczyzny — rączki do-
ry i wychodzić na dwór!

— Kakżeż to bez sanog na maroz wychadit'? —
powiada ponuro ów parobek.

— Buty bierz, bracie, na ręce, włożysz na dworze.
Nie bój się kataru nie dostaniesz.

tradycyjnie kolegów z młodszego rocznika nazywano „trznadłami“. Stąd ptasie ćwierkanie, stąd to ćwieka-
nie, jako rozpoznawcze zawołanie strażnicy. Podobno
w pierwszym roku objęcia granicy przez KOP w stra-
żnicy był strzelec nazwiskiem Trznadła. Wyjątkowa ofer-
ma, stąd to i poszło.

Ale Wojtasik był na tyle rozsądny, iż żart traktował
jako żart. Roześmiał się też i mrugnął porozumiewaw-
czo w kierunku Grzymały i Puchały, też z młodszego
rocznika. Potem zbliżył się do dowódcy strażnicy i za-
meldował się służbiście:

— Panie plutonowy, strzelec Wojtasik melduje się
po powrocie ze służby.

— Dobrze, dobrze, Wojtasik. A co tam słyhać na
granicy?

— Na granicy nic nowego, ale we wsi chłopci jakąś
uroczystość żałobną obchodzili. Śpiewali pieśni ukra-
ińskie...

— I ja widziałem! I ja! — wołali strzelcy na wy-
rywki.

Plutonowy kiwnął głową uspokajająco.

— Wiem o tym. To w rocznicę Bazaru.

— Co to znaczy, panie plutonowy? — zapytał
strzelec Puchała, przeczuwając jakieś ciekawe opowia-
danie.

Plutonowy spojrzał w roziskrzone ciekawością oczy
swoich podkomendnych i pomyślawszy chwilę zaczął:

— Wiecie zapewne, że w październiku 1920 roku skończyła się wojna z bolszewikami. W rok później nasz pułk stał garnizonem w niewielkim mieście powiatowym w okolicy rzeki Zbrucza, będącej na tamtym odcinku granicą polsko-sowiecką. Otóż na jesieni tego roku na wiadomość o tym, że na Ukrainie zanoszą się na ogólne powstanie przeciw rządowi bolszewickim, wielu oficerów i żołnierzy z armii atamana Petlury, którzy pozostali w Polsce po skończonej wojnie, przeszło pod dowództwem atamana Tiutiunnika w początku listopada na tamtą stronę, aby wziąć udział w przewidywanej walce zbrojnej.

Ten, tak zwany zimowy pochód, skończył się całkowitym niepowodzeniem. Po trzytygodniowych marszach o chłdzie i głodzie, powstańczy oddział został otoczony ze wszystkich stron i wpadł w ręce bolszewików. 400 żołnierzy poległo w boju, a 537 dostało się do niewoli. Podczas walki wielu z oficerów, nie widząc innego wyjścia, popełniło samobójstwo. Przed bolszewickim sądem polowym stanęło tylko 359 jeńców, gdyż inni pomierali od ran. Zasądzono ich na śmierć. Bolszewicy rozkazali skazańcom wykopać wielki wspólny grób, spędzili z powiatu włościan, żeby ci na własne oczy widzieli, co ich czeka na wypadek powstania, po czym kazali jeńcom ustawić się na skraju grobu. Już w ostatniej chwili jakiś czerwony komisarz powiedział, że jeśli który ze skazańców wyrazi skruchę i przysięgnie, że wsta-

pi w szeregi sowieckiego wojska celem walki z ukraińskimi bandami — jak nazywał powstańców, — ten będzie ulaskawiony.

W odpowiedzi na to wystąpił żołnierz imieniem Szczerbak i oświadczył, że oni wszyscy wolą umrzeć, jak na prawych żołnierzy przystało, niżeli służyć czerwonym oprawcom. Na te słowa jeńcy wzniesli huczny okrzyk „Sława!“ i zaczęli śpiewać swój hymn narodowy, póki nie zagłuszył go warkot karabinów maszynowych. Rażeni kulami padli w mogiłę, z której przez dłuższy czas, aż do chwili przysypania ziemią, dobywały się jęki.

To się działo pod miasteczkiem Bazar, a rocznica tego dnia jest dla Ukraińców rocznicą żałobną...

Plutonowy skończył i cisza zawisła przez chwilę nad głowami chłopców. Wspominali zapewne skrwawione stoki Cytadeli warszawskiej i te wszystkie miejsca, gdzie Polacy tak hojnie szafowali swą krwią „za naszą wolność i waszą“...

Ale młodość ma swoje prawa. W tym wieku smutek jest nietrwałym gościem. Żyje się nie wspominkami, lecz przyszłością. Nad wszystkim króluje — inaczej zresztą być nie może — dzień powszedni. To też sprytny, wyszczekany strzelec Zawieja, ośmielony wyjściem dowódcy strażnicy, zagadnął Puchałę:

— Te, Ignac, a czy na tej zasadzce przy cmentarzu straszylesz?

Puchała, młodo i naiwnie wyglądające chłopaczysko, zdziwił się:

— A bo tam straszy?

— Rany boskie! To ty nie wiesz? Chłopaki, powiedzta, czy to nie trznadel? I taki chce „kopistą“ być. Toś ty chyba spał, co? Przyznaj się!

Puchała zląkł się posądzenia, że spał na służbie. Tłumaczył się gęsto. Inni z młodszego rocznika, widząc poważną minę Zawiei i starszych kolegów, wahali się — wierzyć czy nie? A może i naprawdę straszy? Mało to co na świecie bywa?

— Jak takiś mądry, brachu — rzecze najroztropniejszy z nich Wojtasik, — to opowiedz, jak to było.

— Dobra, może się ze mną założysz, co? Czekaj, opowiem ci dokumentnie. I ja byłem taki cwany, nie wierzyłem. Kiedym przyjechał na strażnicę zbujali mnie i dałem się nabrać, założyłem się. Zaraz z wieczora zaprowadzili mnie, nie mówiąc dokąd, w jedno miejsce. Dużo tam było pagórków, mówili, że to resztki kopów. Powiadają: siedź tu, za godzinę — dwie zobaczysz dziw, od jakich włosy dęba stają... Rozemknąłem się. Bujać to my, ale nie nas.

No i zostałem sam. Siedzę tak może z godzinę, może więcej. Wsluchuję się w ciszę nocy. To tylko się tak mówi: cisza nocy. Co z was, co w nocy służbę pełnili, wiedzą, że nie ma ciszy. Hen, daleko słychać szczekanie psów. Po rosie płynie przytłumiony, gasnący z oddale-



Wystąpił żołnierz nazwiskiem Szczerbak.

nia śpiew. Nad głową poszybował nietoperz. W trawie szeleści jakiś owad, może przebiegła mysz polna? Obudził się wiatr i zaszemrały gałązki drzewa. Spadł liść. To wszystko przecież słyhać. A tu jeszcze, bracie, słuch masz wyostrzony. W końcu sprzykrzyło mi się to wszystko, wyszukałem sobie dogodnego pod głowę oparcia, ułożyłem się wygodnie i sam nie wiedząc kiedy — zasnąłem.

Budzę się w pewnej chwili, że to coś jakoś niewyraźnie... I nie podnosząc się, nie ruszając nawet palcem, rozglądam wokoło. Właśnie wschodził księżyc. Podnosił się zwolna z poza horyzontu, z trudem odlepiając się od ziemi. Zrazu był czerwony, jak rozżarzona patelnia, potem, w miarę jak wdraprywał się na mroczne niebo, bladł i żółkł, jak gdyby opuszczał go żar, którym jest przesycona ziemia. Zrobiło się widno, otaczające mnie przedmioty rzuciły ostre, czarne cienie. Coś w pobliżu chrogotało co jakiś czas, wydając przenikliwe, blaszany odgłos.

Targnięty nagłym niepokojem, usiadłem nagle. Co u licha? Czyżbym był na cmentarzu? Dookoła mnie równymi rzędami stoją jednakowe krzyże. Niektóre pochylone kłonią się ku ziemi. Pagórki, które brałem za resztki okopów, okazały się mogiłkami. A ów chrobotliwy dźwięk, ten chyba ten blaszany, nawpół oderwany wieniec szarpanego wiatrem...

Zawieja coraz bardziej wpadał we władzę wspom-

nień, a jego przyjemny głos dziwnie oddziaływał na słuchaczy, którzy w milczeniu przysłuchiwali się opowiadaniu. Co niektórzy nieznacznie przysuwali się do kolegi i chyłkiem zerkali na drzwi.

— Tylko nie ulec panice! — przekonywałem siebie — ciągnął dalej Zawieja, — tylko nie zrobić głupstwa. Cóż to cmentarz? Żywi tam nie leżą, tylko zmarli. A ci spoczywają snem wiecznym. Każdy tu prędzej czy później przyjdzie.

Rozum jednak swoje, a instynkt swoje. Nie słucha się bezkarnie przez długie zimowe wieczory babek i pogaduszek, opowiadań o zmorach i upiorach. Postanowiłem wstać powoli, tylko powoli, i wolniutko wycofawszy się z cmentarza wrócić na strażnicę. Wstałem, idę, niby patrzę tylko przed siebie, a wszystko na stronie widzę. Hełm podziurawiony na krzyżu wisi, a mnie się zdaje, że to ktoś zza krzyża wygląda... Ledwie, ledwie powstrzymałem się od ucieczki. Idę, odmawiam „Wieczne odpoczywanie“... i patrzę, czy tu parkan blisko?

Aż tu w miejscu, gdzie wojskowy cmentarz styka się z cywilnym, widzę krzyż, a z poza krzyża ktoś białą płachtą macha... Dziki, obłądny strach zjeżył mi włosy. Wrzasnąłem przeraźliwie i w nogi. Parkan był pleciony z chrustu. Dałem przezeń susa jak młody jelonek, ale się zaczępił — portki trzasnęły na całej długości — i runąłem do rowu. Poderwałem się jak zając i przed

siebie rwę... Tchu w piersiach braknie, w gardle i ustach wyszło, jakbyś popiołem wysypał, pot leje się po twarzy... Aż kiedy zobaczyłem światła w oknach strażnicy, upadłem i tak leżałem nawpół żywy może z kwadrans, może pół godziny...

— No i co? — wyjąkał przejęty Puchała.

— Co miało być? Poszliśmy nazajutrz na cmentarz i wiecie co? Tu jest taki zwyczaj, że pannom na krzyżu wieszają długi płócienny ręcznik. I ten to ręcznik wiewał na wietrze...

Śluchacze odetchnęli z ulgą. W nagłym odprężeniu zaczęli nienaturalnie głośno śmiać się i gadać. Zapalili papierosy. Każdy wspominał coś niezwykłego, co się zdarzyło jemu, jego bliskim lub znajomym.

Ale Zawieja wciąż chciał się zabawić kosztem swoich kolegów.

— To było — powiada do strzelców z młodszego rocznika — na cmentarzu, a na cmentarzu nawet gdyby straszło, to nie dziwota. Ale tu w ogóle jest miejsce uroczne. Pamiętacie, jak was pan plutonowy po odcinku oprowadzał?

— Pewnie, że pamiętamy — przytwardzili.

— Pamiętacie tę długą kładkę na wyspę, skąd najczęściej przemytają chodzą? No, co patrzycie, jak wrona w gnat? Ta kładka nad bagnem, obok dębiny?

— Pamiętamy... — powiedział Wojtasik niepewnie.

— Wspomnijcie moje słowa, kiedy was tam postraszy.

— Ale tam nie ma żadnego krzyża — wywrnął się z tryumfem Puchała.

— Z miastąście, a głupieście. Czy koniecznie musi być krzyż? To nie wiecie, ile ludzi się natopiło w tym bagnie? Po nocy wylaża z wody i straszą...

Do izby wszedł dowódca strażnicy.

— No, chłopaki, dosyć tego bajdurzenia. Komu na służbę, a komu spać!

Rozeszli się trochę niechętnie. Raz, że dobrze jest śledzić w kompanii i słuchać ciekawych historyj, a po wtóre jednak pozostało niemiłe wrażenie: strachy, to-pielce...

Wojtasik jeszcze wyszedł za swoją potrzebą, a kiedy wracając przechodził obok kancelarii, usłyszał urywek rozmowy. Mówił pan plutonowy do kaprała:

— „...zadzwonisz, Czesak, jutro do pana porucznika, zameldujesz, że w dąbrowie pokazało się duże stado dzików. Pewnie przeszły z sowieckiej strony. Chłopi skarżyli się na duże szkody w polu. Wartoby polowanie urządzić, czy co?...”

Godzina pierwsza w nocy. Dyżurny budzi jednego strzelca ze starszego i jednego z młodszego rocznika, Zawieję i Wojtasika. Czas iść na służbę. Obaj ubierają

się milcząc. Rany boskie, co by dali, żeby pozostać w ciepłym, wygrzanym łóżku. Zgodni są obaj co do tego, iż najprzykrzejszą stroną wojska jest właśnie ranne wstawanie. Zwłaszcza zaś w taki czas.

Zawieja wysłuchuje instrukcyj, po czym wychodzą przed strażnicę, ładują karabiny i chlap-chlap-chlap, teledziękają się po błocie i wodzie. Śnieg zginął prawie całkowicie. Za ledwie tu i tam, w jakiejś jamie, pod krzakami bieleje brudna, ziarnista i mokra reszka. Z gałęzi opadają wielkie, pojedyncze krople. W powietrzu czuć gęstą mgłę, czuć mokrym drzewem i odtajającą ziemią.

W takich chwilach nie chce się gęby otworzyć. Mimo to Zawieja przestrzega:

— Uważaj tu na tej grobli, abyś się nie skapał.

„Aha — myślał Wojtasik — to ta grobla...” Przypomina sobie układaną z olszowych okrągłaków (czuje ją pod stopami) drogę, po obu jej stronach głębokie rowy, napełnione rdzawą, żelazistą wodą, a dalej bagno, w którym nędzne krowy wiejskie zapadają się aż po kałdun. Po lewej stronie drogi do dziś jeszcze widnieje kładka, również zbudowana przez KOP, wzniesiona co najmniej na metr nad poziom błota. Dawniej chodzono właśnie tamtędy. „Dziękuję — rozmyśla Wojtasik — w taką noc popędzać po takiej śliskiej i wąziutkiej kładce...”

Wreszcie grobla się kończy. Pod nogami miękko ugina się tofłasto podłoże. Teraz trzeba uważać, aż

ciemność nocy przetnie jaśniejsza kreska, idąca na lewo. To ścieżka, która ma ich doprowadzić do dąbrowy. Jest

Ucieszony Wojtasik odzyskuje humor i zaczyna

— Wiesz, słyszałem, jak plutonowi... — mówi jednak, przypomniałszy sobie nabijanie się z nich Zawiei. „Kiedy taki mądry, to nie mu nie mówim”.

Zawieja nie wykazuje zainteresowania tym, co słyszał Wojtasik i sunie dalej równym krokiem, stąpając bezszelестnie jak koło. Wojtasikowi to się jeszcze nie zawsze udaje: czasem albo chrupnie pod nim łamana gałązka, albo trysnie woda z kałuży. Syka wtedy, jak gdyby czuł fizyczny ból, z zakłopotaniem oczekując na ciekawą uwagę ze strony starszego kolegi, ten jednak dzisiaj zdaje się nie zwracać uwagi na takie rzeczy.

Teren lekko wznosi się pod górę, pachnie szpilkowy las. To wzgórze „borsuków”. Pełno tu wrytych jam, nogi zapadają się, trzeba pilnie uważać. Zaraz droga łagodnie spłynie ku bagnu, krzyżując się z inną, prowadzącą do grupy domów w lesie, kolonij. Ci dopiero mają frajdę: od najbliższej wsi dzieli ich 40 kilometrów!

Jeszcze kilkadziesiąt kroków i Zawieja zatrzymuje się nad brzegiem wody. Wskazuje Wojtasikowi miejsce.

— Stań tu. Masz uważać na drogę do chutorów, chciałem rzec — kolonij, na lewo zaś mieć łączność wzrokową ze mną. Ja będę pilnował kładki. Może co-niektóry, licząc na psi czas, wpadnie na nas...

Odchodzi. Wojtasik odprowadza go smutnym wzro-

kiem. W taki właśnie czas chciałoby się mieć jakąś żywą duszę przy sobie. Szelest kroków powraca. To Zawieja.

— A żebyś nie nawalił w parafię — przestrzega tajemniczo, — tu topielice straszą...

„Wszelki duch Pana Boga chwali“ — powtarza Wojtasik w myśli. — Nie ma złych duchów, są tylko źli ludzie — odpowiada głośno w ciemność, gdyż Zawieja już odszedł. Pozostał jedynie szum lasu i szmer opadających na ziemię kropli. Pozostały też własne myśli. Biegna, kłębią się jak letnie obłoczki pod czaszką Wojtasika. Jest o czym myśleć: tyle w ostatnich dniach widział i przeżył...

Zawieja stanął opodal wody między dwoma śmigłymi dąbczakami. Pod nogami sucho, choć od bagna ciągnie wilgoć i chłód. W kierunku kładki jest w trzcinie wydeptana jak gdyby ścieżka; tędy wciągają rybacy łodzie o płaskich dnach. Po obu stronach ścieżki szumi zwarty mur trzciny. Dalej sinieje matowa głaz rozlewiska. Wojtasik musi go widzieć na tle wody, podczas gdy on tylko wie, gdzie jest jego kolega.

Strzelec Zawieja też rozmyśla. Coż innego można robić podczas dłużeń się w nieskończoność godzin nocnych. Zawieja zna tu każdy zakątek, jak własną, pustą przed żółdem, kieszeń, a mimo to jest mu dzisiaj czemuś bardzo nieswojo. Opowiadanie plutonowego o masakrze pod miasteczkiem Bazar, własne wspomnienia,

zastyszane gadki o topielicach przypominają się na nowo. Nieprzyjemnie... Człek mimowoli ogląda się na strony i mocniej ściska karabin.

„Bo jak przemytnik czy tam inny dwersant“, myśli Zawieja „to karabin grunt. Lecz jeśli na ten przykład, wylizie z wody taka maskara, to co jej karabinem zrobisz? Toż to powieźże, gaz...“

Tu przypomniał sobie topielca, wyłowionego z rzeki, przepływającej obok wsi. Uwiązano go do łodzi, miał białe, jakby w gotowane oczy, a w krótko ostrzyżonych włosach było pełno piasku.

Brr! wstrząsnął się z obrzydzeniem i strachem. Błędem... Co to? Ktoś jakby szedł, oddychał ciężko... Ach, jak ciężko dyszy i sapie! Tak muszą dyszeć dusze na wieki pogrążone w otchłaniach piekieł... Dusze, przytłoczone bezmiarem swej nieprawości i umęczone ponad ludzkie zrozumienie. Czasami dychanie milknie, a wtedy do głosu dochodzi las z jego żalosnym pojęciem.

Zimny pot zrosił obficie czoło Zawiei. Nogi zrobiły się dziwnie miękkie. Oddech krótki. Obejrzał się w kierunku Wojtasika. Krzyknąć? A jeśli nic nie ma, to będzie wstyd. Toż to młodszy rocznik... Wargi miał suche, jak papierowe. Wzrok wyteżał w kierunku szmerów.

O, znów... dyszy, zbliża się... Może to przemytnik coś dźwiga, ciężko mu, więc sapie, strudzony — podszeptował zdrowy rozum.

Przemytnik nie zachowywałby się tak głośno — od-

powiada sobie Zawieja. — Nie szedłby przez bagno, a ścieżką. Z drugiej zaś strony, gdyby, powiedzmy, topielica? Topielice, jak słyhać, białe są, w powłóczy-
stych szatach i długich, rozpuszczonych włosach, w któ-
rych są zaplątane wodorosty i nenufary... A tu białego
nie widać nic, choćby tej mgły odrobinę...

Chlup-chlup-chlup... coraz bliżej. Zawieja przeżegnał
się szybko, westchnął głęboko i wziął karabin na „go-
tuj broń“. Pod ścianą trzciny zamajaczył czarny, ledwie
widoczny cień. Nagle ostro plusnęła woda i jednocześ-
nie ciszę rozdarł krótki, gardłowy dźwięk.

Zawieja podskoczył jak oparzony, jęknął „Jezus-
Maryja...“, zmierzył się i strzelił. Zarepetował piorunem
i czekał...

W wodzie szarpnęło się coś raz i drugi i ucichło.
A tu już z karabinem gotowym do strzału nadbiegał
Wojtasik.

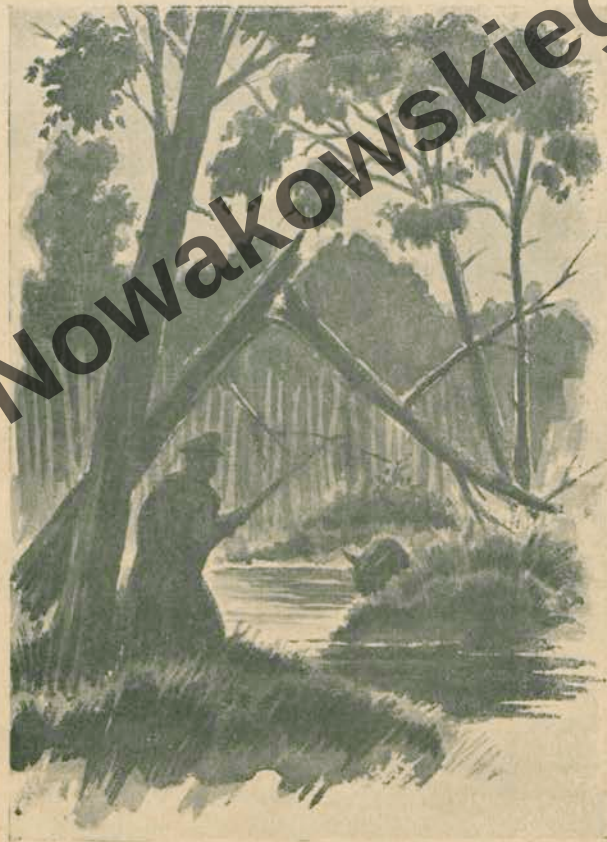
— Co się stało? Czemuś strzelał? — dopytywał
gorączkowo.

— Coś na me lazło... Musi Zły... — szepotał zdławio-
nym głosem Zawieja.

— O, zaraz Zły? — wydzygotał Wojtasik. — Może
dzika świnia?

— Idź, idź bo cię zdzieli — rozgniewał się Zawieja.
— Trznadel, myślisz, że dzikiej świni nie poznam.

* * *



Wziął karabin na gotuj broń.

Wież o niezwykłym wyczynie Zawiei wstrząsnęła całą strażnicą, ba, przedostała się nawet (zapewne drogą telefoniczną) na resztę odcinka. Zmiana zmianie wskazywała przypuszczalne miejsce, gdzie w wodzie spoczywa potworny zezwłok Złego. Niemiły drzeszczyk przebiegał po krzyżach strzelców, wyznaczanych na uroczne miejsce. Wreszcie nadszedł świt. Zmiana, która teraz przyjdzie do strażnicy, przyniesie rozwiązanie dręczącej zagadki.

I oto idą. Pierwszy postępuje Puchała. Na ich spotkanie wybiegł Zawieja.

— No i co, no i co? — dopytywał gorączkowo.

— Odwał się, ty... świniobójco — powiedział Puchała zuchwale.

Zawieję zatkało ze zdumienia i oburzenia.

Na puciołowatej, rumianej twarzy Puchały błąkał się uśmiezek, kiedy meldował dowódcy strażnicy:

— Panie plutonowy, melduję, że Zły, kórego zabił Zawieja, to wcale nie Zły, a dzika świnią. Leży w wodzie, na prawo od kładki...

JESTEM ANALFABETĄ...

Z całej obsady strażnicy, jak nas tam było szesnastu, do gustu mi przypadł jedynie strzelec Szymon Marcelak. Może właśnie dlatego, że był małomówny i nieskory do złożenia. W takiej zapadłej w lasach strażnicy, jak nasza, o zbliżenie jest bardzo łatwo i właściwie trudno go nawet uniknąć. Marcelak jednak tak lawirował, tak się umiał postawić, że nawet dowódca strażnicy, Wielkopolanin i nauczony w wojsku niemieckim — tykania, jemu jednemu zawsze mówił „wy“.

Marcelak był przystojnym chłopakiem. Miał regularne rysy i z oczu mu patrzyła inteligencja, ale inteligencja raczej wrodzona, bo o ile zauważyłem, Marcelak ani pochodził z tak zwanej dobrej rodziny, ani odebrał jakiegoś staranniejszego wykształcenie. Przypuszczam, że w tym właśnie tkwiła przyczyna jego powściągliwości. Prostu obawiał się z czymś niestosownym zdradzić, a że, bestia, był szalenie ambitny, wołał więc nie ryzykować.

Nieraz przyglądałem się mu niepostrzeżenie. Kiedy przypuszczał, że nie jest obserwowany — z twarzy i ruchów spadała mu jak gdyby maska. Jak gdyby z wewnątrz wyjęto mu jakąś sprężynę. Robił się swobodny

i przez to jeszcze bardziej miły, pociągający. Ale też w mgnieniu oka twarz jego przybierała maskę służbistości lub obojętności. Już po tygodniu nie miałem wątpliwości, że ten człowiek kryje jakąś tajemnicę. Ale jaką?

Sam nie wiedząc o tym, nie zdając sobie sprawy, zacząłem Marcelaka śledzić. Przyznajcie sami, że nie jest to ładnie starać się komuś wydrzeć jego starannie ukrywaną tajemnicę. Są sprawy, które ukrywamy w najgłębszych zakamarkach swego serca. Wywlekając je na jaw wbrew woli posiadacza wyrządzamy mu najcięższą krzywdę.

Nieraz, zasypiając, głowiłem się nad sekretem Marcelaka. „A nuż jest szpiegiem?” — myślałem, natychmiast ze wstrętem, niby płaza, odrzucając samą myśl nawet. A potem, skoro słodki sen coraz bardziej zstępował w strudzone całodzienną pracą członki, przez głowę przewijało się jedyne prawdopodobne przypuszczenie, że — z pewnością — jest to sprawa seksowa. Zasypiając, czułem serdeczne współczucie dla biednego chłopaka, który, być może, kocha się bez wzajemności.

Niewiadomo w jaki sposób sprawy Marcelaka stawały się mymi najdroższymi sprawami. To ja błagałem o litość i jedno dobre słowo do ja — o wstydzie — budziłem się skapany we łzach, koledzy zaś nazajutrz wykpiwali mnie, że „przedstawienie po nocach urządzam”.

Skoro czujemy do bliźniego sympatię, łatwo nam przychodzi przy pomocy tysiąca sposobów, spojrzeń czy

uśmiechów dać mu ją poznać. Te moje wysiłki skończyły w końcu pancierz obojętności Marcelakowski. Może będziecie się śmiać, ale dzień, kiedy Szymek zwrócił do mnie wprost rozjaśnioną uśmiechem twarz, wydał mi się dniem zaiste szczęśliwym. Zyskałem przyjaciela. O, jakżeż to wiele znaczy! Przecież, to więcej nawet jak kochanka, nie wymaga bowiem nic, dając wzamian najcenniejszy skarb przyjaźni.

Odtąd byliśmy nierozłączni, niby Słowackiego Le-lum-Polelumi. Każdą wolną chwilę spędzaliśmy razem. Dzieliliśmy się z sobą wszystkimi myślami... Chociaż — stop! To ja byłem gadatliwy i wylewny, niczym miejska kumoszka. Szymek, choć niby dużo mówił, nigdy nie właściwie o sobie nie powiedział, pozostając dla mnie wciąż zagadką. Z jego mglistych, ostrożnych wynurzeń nie zmiarkowało się wiele. Nie zrażało mnie to jednak. Być może dlatego, że należę do gatunku ludzi, którym jest obojętne, do kogo mówią, byle mówić, zwierzać się. Tacy ludzie — gdyby mieli talent — powinni zostawać powieściopisarzami.

Nie podobało mi się jedno: Szymek dość często dostawał listy, pisane kobiecą ręką, pięknym, wyrobionym charakterem pisma. Nigdy jednak nie chciał mi powiedzieć — od kogo. Przy wszystkich swoich zaletach jestem odrobinę ciekawy i te listy nie dawały mi spokoju. Poznałem już Szymka na tyle, aby wiedzieć, że posiada bardzo duże luki w wykształceniu. Czasami nie umiał

odpowiedzieć na takie głupie pytanie, jak w którym roku została odkryta Ameryka, lub czy Jagiełło był w samej rzeczy wielkim królem, czy też takim zrobiły go sprzyjające okoliczności i talent dyplomatyczny koronnych mężów stanu?

Więcej jednak takich pytań nie zadawałem, bo Szymek, przyłapany na niewiedzy, wychodził z równowagi i potrafił być przykry.

Ktoregoś dnia, a był to lipiec i żar z nieba lał się tak straszny, iż po prostu nie było czym oddychać, ziajałiśmy jak ryby, wyrzucone przez burzę na piasek. Do wieczora miałem wolne i postanowiłem zaszyć się w las. Tam w cieniu, w żywicznym zapachu, łatwiej będzie doczekać ożywczego zachodu słońca.

Wąska ścieżka kluczyła między plastrami mchu i kępami jałowca. Wokoło pełno było czarnych jagód i zapomniawszy o wszystkim, pojadalem sobie smacznie, niczym młody niedźwiadek. W pewnej chwili, podniosłszy głowę, oniemiałem ze zdumienia: przede mną na spróchniałym pniu siedział Szymek z listem w rękę. Wyraz jego twarzy był pełen skupionego napięcia, które z wolna przekształcało się w wyraz beznamiętności i rozczarowania.

Chciałem zawrócić, ale pod stopą trzasnęła gałązka i Szymek, jako nieodrodny „kopista“, porwał się natchmniast na równe nogi.

— Coż to, ty mnie śledzisz? — zawołał gniewnie.

— Wariat. Tak wyszedłem sobie do lasu. Dużo jagód tutaj — wybąkałem.

Spojrzał na moje sine zęby i wargi, na umorusane ręce i roześmiał się. Jednocześnie lewa ręka składała list, aby go opuścić do kieszeni.

Nie wytrzymałem.

— Od kogo masz list, Szymku? — powiedziałem prosząco-ciekawie.

— A co ciębie to obłazi? — burknął.

Patrzył na mnie wyzywająco, ja zaś stałem naprzeciw niego z miną niezmiernie głupią i z rękami, które nie wiedziałem gdzie podziać. Teraz on podświadomie brał odwet na mnie za cierpkie niejednokrotnie uwagi, jak na przykład, że nie należy jedzenia kłaść do ust nożem, lub oblizywać łyżkę. Czulem, że powinienem odejść, ale wyglądałbym na obitego psiaka i to mnie powstrzymywało na miejscu.

Nagle stała się rzecz nieoczekiwana. Szymek zbliżył się do mnie, a ująwszy za ramię rzekł:

— Chcę ci coś powiedzieć, ale musisz dać słowo, że nikomu słowa nie piśniesz.

— Słowo honoru! — zawołałem zbyt może skwapliwie.

Mimo to wahał się, nie mogąc z siebie wydusić oczekiwanego wyznania. Wreszcie skinął na mnie i powoli ruszył w głąb lasu. Mówił bardzo cicho.

— ...Urodziłem się na parę lat przed wojną, jako dziecko wyrobników wiejskich. Kiedy wybuchła wojna, ojca zmobilizowali i zginął w wielkiej bitwie w okolicach Łodzi w roku 1914. Matka przy kopaniu kartofli przeziębila się i zmarła na wiosnę na gruźlicę. „Dobrzy ludzie“ odchowali mnie, a gdy ledwie od ziemi odrośłem, trza było iść do pasionki. Może nie jest to ciężkie zajęcie, ale nudne. Całe dnie i miesiące przesiadujesz w polu z jednym tylko zadaniem, aby bydlę nie weszło w szkodę. Franek sołtysów dla zabawy pokazał mi na kawałku starego elementarza litery i tak się nauczyłem czytać, ale tylko drukowane. Z pisaniem jest znacznie gorzej, szczególnie, gdy ktoś pisze jak... ta pani—uderzył się po kieszeni. I teraz, jak trzeba napisać list — w tym miejscu gęsty rumieniec zalał jego ogorzałą twarz — muszę iść do żyda w miasteczku. On mi też czyta listy od niej...

— Czemuż więc nie zwrócisz się do któregoś z nas?
— Wykrzyknąłem, tak jakbym nie znał Szymka Macelaka.

— Za nic w świecie. Żeby się ze mną natłajali? Och, nieraz sobie myślałem, że ludzie uczeni sami nie wiedzą, jak niesłychany skarb posiadają. Coż to za szczęście usiąść za stołem i wypisywać piórem po białym papierze wszystko, co tylko dusza zapagnie... Jak dobrze w wolnej chwili wziąć książkę do ręki i czytać ciekawe historie o wszystkim, co się tylko na świecie dzieje... Jak słodko jest wziąć list od osoby kochanej i literka po li-

terce, słowo po słowie przeczytać wszystko — bez pośredników... A ja tego nie potrafię. Ty nie wiesz, jak to nie wie, ile wysiłku kosztuje mnie to udawanie, że wychodzenie za coś lepszego...

Ułamał gałąź „wilczej jagody“ i nerwowo obskubywał zeń liście.

— No, a w jaki sposób poznałeś się z tą panią? — nalegałem.

— W żaden sposób. Poprostu jadąc na urlop siedziałem z nią w jednym przedziale kolejowym. Ona jest z Wilna. Studentka — powiedział z widoczną dumą.

A potem czy widziałeś się z nią jeszcze?

— Tak, zapraszała mnie do Wilna. Byłem tam, zwiedzaliśmy miasto, nawet nocowałem u nich...

Znów się nachmurzył. Widocznie wspomnienie z tych dni nie było zbyt różowe. Domyślałem się, że przeszkadzała mu nieumiejętność zachowania się w towarzystwie, choć był przedziwnie spostrzegawczy i miał niezwykle dar naśladownictwa, właściwy samoukom.

— Jestem analfabetą! — zawołał wyzywająco.

— No i cóż, przecież to nie z twojej winy. Gdzie jak gdzie, ale w wojsku możesz się poduczyć wcale nieźle. Na kursach...

— Nie zwracaj mi głowy z kursami. Nie pójdę i już.

— Nie masz się czego wstydzić. Tysiące żołnierzy dopiero w wojsku zdobywa umiejętność czytania i pisa-

nia — perswadowałem mu, mimowoli wpadając w ton naszego wykładowcy.

Odwrocił głowę i milczał uparcie.

— Nie bądź uparty jak baran. To nie jest dodatnia cecha(to samo zawsze do mnie mówią rodzice — pomyślałem). Gdybyś tylko chciał, to mógłbym ci pomóc...

Podniósł głowę i spojrzał ze źle ukrytym zaciekawieniem.

— Tak, moglibyśmy pokryjomu nauczyć się czytać i pisać. Pójdzie ci to łatwo, bo część liter już znasz, poza tym jesteś chłopak inteligentny.

Pochlebiło mu to.

— Tak, ale gdyby się kto dowiedział? — powątpiewał.

— E, skądżeby? Dla chcącego — nic trudnego. Wykorzystalibyśmy każdą wolną chwilę.

— Byczo jest — ucieszył się, ściskając bardzo mocno moją dłoń. — Kiedy zaczynamy?

— Chociażby dzisiaj.

— No to walmy na strażnicę po „przybory szkolne“.

— — — — —
Zabawne, swoją drogą, było to nauczanie. Gdzieś na polance leśnej siadaliśmy lub rozkładaliśmy się na kobiercu mchów, „zadawałem“ Szymkowi lekcje i podczas gdy on zawzięcie pisał, przekrzywając od czasu do czasu głowę, aby ocenić swoje dzieło, ja śledziłem barwę i kształt ruchliwych plam słonecznych, drgających na leś-

nym podłożu lub kragłej, upartej, golonej czaszce Szymka.

Pisał bardzo starannie i robił niezwykle szybkie postępy w tej sztuce. Kiedyś zdybałem go, gdy na skrawku papieru kaligrafował: „Kochana panno Basiu“.

Byłem trochę zaskoczony, gdy po jakimś miesiącu tej nauki przyszedł do mnie z triumfującym wyrazem twarzy, a zarazem strasznie zakłopotany i powiedział, pokazując list:

— Nie wiem sam, co teraz robić? Napisałem do niej list, a ona zapytuje, dlaczego sam nie piszę, czy mi się co nie stało?

Roześmiałem się.

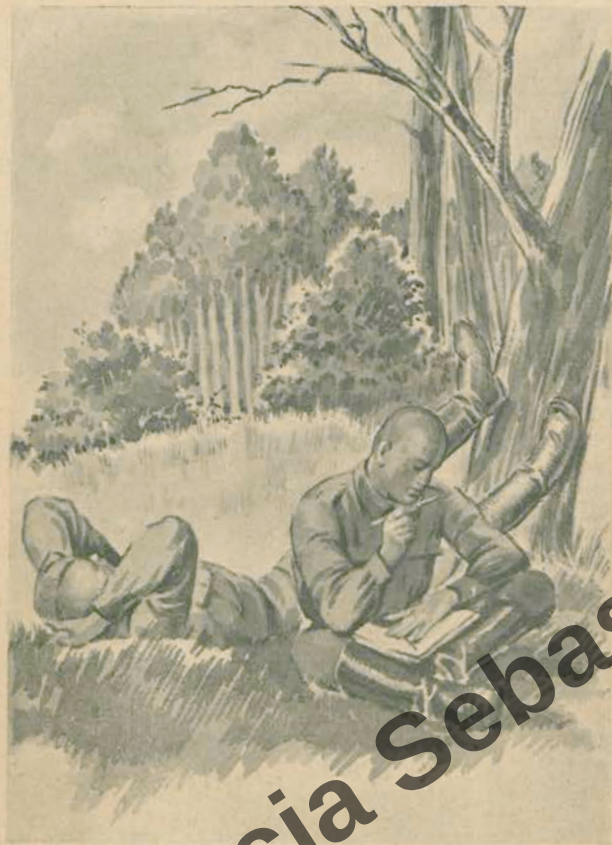
— Ach, prawda, dotychczas listy były gryzmołone ręką tego żydka... Musisz to jakoś wytłumaczyć.

— Ba, ale jak? Wyłgać się? W jaki sposób?

— Nie wiem, jaki stosunek was łączy. Ale jeśli ona cię naprawdę lubi, to ją nie zrazi, jeśli jej napiszesz szczerą prawdę. Podług mnie stokroć więcej wart człowiek, który własnymi siłami wybija się na wyższy szczebel nie tyle może społeczeństwa, co wiedzy, — aniżeli ten, kto stroi się w cudze piórka, puszy, lub nie dąży naprzód.

Pokiwał głową i odszedł w zamyśleniu.

Dalej rzecz układa się jak w jakiej książkowej opowieści. Pewnej nocy zaalarmowano odcinek: przez granicę miano szmuglować większy przemysł. Padał ulewny



On zawsze pisał...

deszcz i po północy przenikliwy chłód jesienny nie żle dał się we znaki siedzącym na zasadzce strzelcom. Zwolna mijały długie godziny. Marcelakowi ściepły ręce i nogi, przemókł płaszcz i mundur lepił się do ciała. Dreszcz przenikał go całego, mimo to siedział wytrwale, co jakiś czas spoglądając na zegarek to znów na opieszale rozjaśniające się niebo.

Przestało padać, natomiast z łąk podniosły się opary, nawisając ciężką zasnówką. Z głośnym szumem skrzydeł przeleciał jakiś ptak, potem zaległa znów nieruchoma cisza przedświtnego poranka.

Pochylił się do szymkowego ucha, szepcząc:

— Patrz, już widno. Wracamy na strażnicę. Myślisz, że będzie frajer w taką porę z przemytem iść?

Pokiwał przecząco głową.

Niecierpliwiłem się coraz bardziej. Kiedym pomyślał o ciepłym, suchym łóżku — ziewałem tak, iż bałem się, aby nie wywichnąć szczęki. Aż tu chlup-chlup po leśnej łące. Ktoś idzie... Idzie w naszą stronę.

Sen odleciał, jak spłoszony ptak. Karabin mocno ująłem w dłoń, zataiłem dech, czekamy.

Chlup-chlup... Coraz bliżej. Czarny cień wynurza się z mgły. Idzie zgarbiony, objuczony ciężarem. Dyszy ciężko. Graniczna rzeczulka bardzo wąska. Wiemy, że za chwilę przerzuci swój tobół, a potem skoczy sam. Więc Marcelak krzyczy nieco nienaturalnym, jakby pękniętym, głosem:



Ciemny cień wynurza się z mgły.

— Stój! Ręce do góry!

Chłop zamienił się w słup soli. Stoje na „gotaj broń”, gdy Marcelak zbliża się do przemytnika. Aż tak domot, jakby łosie pędziły po bagnie i parę postaci cwałuje przez mokrą łąkę do granicy.

Zrobił się rwetes, krzyk, nazy nie wiedzieliśmy kogo łapać, trzymać, smygali wokół nas, jak wystraszone króliki, rzucając swoje pakunki. W wyniku całej tej hecy pojmaliśmy po jednym, nie licząc porzuconego przemytu.

Oczywiście potem było i wyróżnienie: po 7 dni urlopu. Marcelak zaś, prócz tego, 20 złotych nagrody.

Na urlop jedziemy razem. Ja do Warszawy, a Marcelak?

— Do Wilna — powiada z pychą.

Usiadł w wagonie, nogę na nogę założył i gazetę czyta, jak hrabia jaki. Mimo to przyjemnie na niego patrzeć. Myślę sobie: „Jakby nie było — moja zasługa”. I powiadam do tego huncwota:

— Gdyby tam w Wilnie coś ten tego, to proście i mnie...

— Się wi... — odrzecz protekcyjnalnie, zagłębiając się ponownie w czytaniu.

O BOWIĄZEK NADE WSZYSTKO

Martwa cisza panowała w strażnicy Wydmuchy. Rozprażone słońcem powietrze stało nieruchomym słupem nad jej białymi, murowanymi ścianami i czerwonym dachem. Strażnica była nowa, więc zaledwie kilka grządek z warzywem i kwiatami zdołano wyręchtować przed latem. Od rzeki dzieliło ją ze trzy kilometry ścieżką, pozbawioną krzty cienia, więc nikomu nie chciało się w taki upał po nużącej służbie biec do wody, aby w drodze powrotnej nowym okryć się potem.

Starszy strzelec Książek, zwany zazwyczaj „starszym frajtre”, wstał, wściekły, ze swego łóżka. Nie mógł spać — tak znęcały się nad nim muchy.

— Cholery na nich, na tych gadów, nie ma! A mówiłem — kupić lepu!

— Niby z czego? — odezwał się z sąsiedniego łóżka któryś z kolegów. — Czy masz za wiele pieniędzy? Dużo ci ten lep pomoże? My tu i statkę w oknie kuchni zawiesili, i codziennie gależnię muchy wypędzamy, ale tyle to pomaga, co umiemy kadzidło...

Książek wyszedł na próg, rozejrzał się, powoli kierując się ku widniejącej w polu kępie brzeziny. Droga

toczył się kłęb kurzu. Przez zwykłą ciekawość ludzi odosobnionych od większych ośrodków życia, Książek zatrzymał się i po chwili zrównał się z nim wyprzedzający w kierunku granicy. Na wozie siedział mężczyzna i dwie kobiety.

Starszy strzelec uśmiechnął się szeroko:

— Panna Małgosia na pole jedzie?

Wóz się zatrzymał.

— A tak, chce pomóc przy zwózce zboża. A pan dokąd?

— Przespać się trochę. Na strażnicy gorąco i muchy spać nie dają.

Dziewczyna, przykrywając oczy dłonią, spojrzała na słońce.

— Długo pan tam zabawi?

W źrenicach Książka zapaliła się radość, wnet zgaszona przez niedowierzanie.

— Do zmroku.

Tymczasem woźnica, znudzony przeciągającą się rozmową, machnął batem i konie, oganiając się od złych bąków, ruszyły. Z narastającego tumanu kurzu doleciał jeszcze głos Małgorzaty:

— To proszę zaczekać na mnie. Może przyjdę!

Starszy strzelec Książek stał z czapką w ręce pośrodku drogi i patrzył w ślad przez długą chwilę. Potem strzepnął palcami i ruszył do brzezinki.

Nie spoczął tam, póki nie znalazł jakby wymarzonego



...z się zatrzymał.

na tajemne spotkanie miejsca. Była to kotlinka, obrzeżona starymi brzożami. Na dnie, porośniętym mchem i borowiną, rozpościł się suty krzak jałowca. Panując tu ciszę przerywały jedynie niezmordowane bzyczenie, z wielkim brzękiem oblatując kotlinkę. Coraz któryś siadał na ziemi lub mchu i, zagłębiwszy łepkę, szukał czegoś, wwierał się w gląb. A po chwili, wydobywszy się, powtarzał swą pozornie bezowocną pracę.

Książek zrazu skłócał czas oczekiwania śledzeniem owadów, potem znowy go morzył cisza, upał i zapach wędnących — swoisty zapach lasu na początku jesieni. Zasnął. A kiedy obudził się nagle i jakby trwożnie, słońce chowało się za widnokręgiem i ze wsi słychać było ryk spędzanego z pastwiska bydła. Zarazem zęgarzek powiedział starszemu strzelcowi, że jest już późno i że nie rozporządza więcej, aniżeli trzema kwadransami czasu.

Książek chodził tam i z powrotem po szczupłej przestrzeni kotlinki, wreszcie, widząc, że szybko zmierzcha, wybiegł niecierpliwie na skraj brzeziny i patrzył pilnie w kierunku wsi. Kto wie zresztą, skąd dziewczyna mogła nadejść? Może z pola, może od granicy?

Dłużej nie wolno było czekać. Na powrotną drogę zostało pięć minut i aby w porę zdążyć, należało biec. Uczynił to i rozczerwony, zły, zziębnięty dopadał już ogrodzenia strażnicy, kiedy przed bramą mignęła biała sukienka Małgorzaty.

— O, pan dopiero wraca?

Było już ciemno, więc nie widział wyrazu jej twarzy, a z brzmienia głosu nie mógł wymiarkować, czy jest to współczucie, czy ukryte kpiny.

— Bo ja, widzi pan, nie mogłam przyjść, nie zdążyłam i chciałam pana za to przeprosić.

Książek wprost fizycznie czuł, jak upływała każda minuta i spalał się z niecierpliwości: z dowódcą strażnicy nie było żartów. Z drugiej strony Małgorzata była tuż, obok, można było dotknąć jej ręką, można było wytargować może jakieś małe ustępstwo za dzisiejszy zawód...

— No dobrze, więc może zobaczymy się kiedy indziej? — zmierzał wprost do celu.

— Zgoda. Ale gdzie? W tej brzezince nie chcę. Dziwnie mi przypomina cmentarz... Może tam na rozstajnych drogach?

— Gdzie? Tam? To przecież nad granicą. Tam zasadzka, tam patrole chodzą...

— Ach tak?... To może przy tym małym stawku, na prawo od strażnicy?

— Nie, nie. Ależ pani wybiera niejsca! To jest pas nadgraniczny. Zarazby na nas patrol wpadł!

— Więc ja się namyslił, pana zawiadomię. Do widzenia!

Był prawdziwie rad, że wreszcie został sam i mógł kopnąć się na strażnicę. Szczęściem plutonowy — do-

wódca strażnicy zajęty był przyjmowaniem telefonogramu i spóźnienie Książka jeszcze tym razem uszło mu na sucho.

Mijał dzień po dniu, a o Małgorzacie wszelki słuch zaginał. Wracając ze służby, pierwszymi słowami Książka było:

— Czy był kto do mnie?

Na co padały najczęściej niecenzuralne odpowiedzi lub dowcipuszkowe rodzaju: —

— Była — opuszczona matka z siedmiorgiem dzieci! — lub

— Nie była, ale telefonowała, że na pewno przyjdzie!

Więc Książek kręcił się koło strażnicy, wybiegał na drogę, lustrował powracające z pola fury — na próżno. Wreszcie wybrał się na wieś, ale tam mu odpowiedziano, że Małgorzata często teraz jeździ do miasteczka, trudno ją zastać.

Jeszcze kilka razy ponawiał bezskuteczne próby, lecz dziewczyna była nieuchwytna. Wreszcie skwitować musiał z wszelkiej nadziei. I w miarę, jak nadzieja zanikała, coraz wyraziściej występował obraz Małgorzaty: wysoka, miała włosy barwy dostalego żyta, duże niebieskie oczy, mały, prosty, zgrabny nosek, drobne ręce i mocne, sprężyste nogi. Wogóle była cała mocna. Uścisk jej dłoni był prawdziwie męski, w przeciwieństwie do innych dziewcząt wiejskich, poda-

jących rękę tak, jakby się tego wstydzili. Przy tym wszystkim w oczach miała coś nieuchwytnego, coś, co nie pozwalało jej na wytrzymanie chociażby przez krótką chwilę innego spojrzenia. No, ale to się zdarza u ludzi często... Książek widział ją zaledwie kilka razy. Podobała mu się szalenie i wiedział, że i on nie jest jej obojętny, jednakże okazji do spotkań było tak mało. Teraz zaś...

Nastala jesień. Dzień w dzień lały deszcze. Świat spochmurniał, zbrzydł, drogi stały się trudne do przebycia, służba bardziej uciążliwa, życie mniej łatwe. Jedno tylko pozostało bez zmiany: wspomnienie o dziewczynie z włosami barwy dojrzałego zboża.

Jednego dnia samopoczucie Książka było szczególnie złe. Łaził po strażnicy, jak mucha po lepie. Wszystko wypadało mu z rąk. Wreszcie nadeszła nań kolej iść na patrol graniczny. Wyszli we dwóch. Sieki drobny, przenikliwy, zimny deszcz, lało się z okapów i z drzew, przyskało spod nóg. Pies by w taką pogodę z budy nie wyjrzał, a tu idź!

Podniósłszy kołnierze płaszczy, skuleni, brnęli obaj wydeptaną przez patrole ścieżką, która tuż nad rowem granicznym gubiła się w gąszczu leszczyny.

Nagle zdało się Książkowi, że coś mignęło w wąskiej wyrwie między dwiema ścianami zielonej gęstwiny. Stanął, wyciągając słuch i wzrok. Deszcz szumiał po gałęziach.

Przywarowali za drzewami — znów! I zanim zdążyli powziąć jakieś postanowienie, w odległości około 30 kroków rozchyliły się krze i na ścieżce stanęła postać kobiety z niewielkim tobołkiem na plecach. Rozglądała się czujnie, a kiedy zwróciła głowę w kierunku ukrytych strzelców, Książek drgnął. Karabin chybotnął się w zdrewniałych rękach. Chryste! Ta blada twarz należała do Małgorzaty!

Należało działać. Za chwilę dziewczyna wsiąknie w zwarty gąszcz leszczyny. Ale Książek oniemiał. Inicjatywę zatem przyjął w swe ręce jego towarzysz. Krzyk: „Stój! Ręce do góry!“ rozdarł powietrze.

Jakiś objuczony mężczyzna rzucił się do ucieczki, z łomotem przedzierając się przez krzaki.

— Łap dziewczynę, ja skoczę za tamtym! — krzyknął kolega Książka, rzucając się w pogoń.

Książek powoli, z karabinem na pogotowiu, zbliżał się do Małgorzaty. Czuł się tak, jak po 50-kilometrowym marszu. Nie spuszczał z dziewczyny oczu, a i ona patrzyła na niego, nie był to jednak strach, lecz jakby ciekawe oczekiwanie.

Podszedł zupełnie blisko i, oblizując zeschnięte wargi, powiedział cicho: — A więc to pani bawi się... w przemytnictwo... Proszę za mną...

— Dokąd? — zapytała równie cicho.

— Na strażnicę.

— Na strażnicę? Czy pan zwariował? Mnie? Pan?



Wyciągała do Książka wilgotne od deszczu ręce.

— Tak, panią. Służba — nie drużba...

Opuściła tobolek na trawę i wyciągnęła do Książka wilgotne od deszczu ręce. — Miły... No, co ci za głupstwa po głowie chodzą... Puść, powiesz żem uciekła. Potem przyjdę do ciebie — wtedy zechcesz i ile razy zechcesz.

Nie przeczuwała, jak dalece odstręczyła od siebie tym powiedzeniem Książka... Więc ona może tak każdemu, po tej i po drugiej stronie, płaci za tego rodzaju usługi — sobie pomyślał. Odsunął delikatnie wyciągnięte ku sobie ręce.

— Mech pani zabiera tobolek i idziemy. Nie ma czasu! — powiedział stanowczo.

Małgorzatę jakby giez uciął. Poczerwieniała, chustę poprawiła pod brodą.

— To ja do niego, jak do dobrego, a on furt swoje: „Na strażnicę, na strażnicę...” — przedrzeźniała go. — Nie pójde na strażnicę. Idź pan sam — razem z tobolekiem! — rzuciła mu go pod nogi, zbierając się na serio do odejścia.

Poniosło i starszego strzelca Książka. — Ja do pani grzecznie, a pani fochy stroi! No, jazda naprzód! — a że opierała się, nie wiele myśląc złapał ją pod pachę i niósł, wierzgającą i miotającą wyzwiskami.

— Dość już! Puść pan, sama pójde! — krzyknęła wreszcie.

Postawił ją na ziemi i oddał tobołek. Szła przodem z pochyloną głową, milcząca, zrezygnowana.

Książek w zamyśleniu patrzył na wymykający się spod chustki pukiel włosów, koloru dostatego żyta...

BYŁO DWÓCH BRACI

Kiedy strzelec Mróz przybył po raz pierwszy z odwodu kompanii na strażnicę, uśmiechnął się z radością, że oto jest na miejscu. Tu przez kilkanaście miesięcy będzie jego dom i rodzina. Tu swą rzetelną służbą odda dań ojczyźnie, tu zapozna się z tak odmiennymi warunkami pracy żołnierskiej i życiem wsi kresowej.

Po pierwszych dniach żmudnego zaznajamiania się z odcinkiem, z tajemnicami „p. o.” i „z.”¹⁾ zaczął rozglądać się w otoczeniu, wczuwać w piękno przyrody i usiłował poznać ludzi, mieszkańców tej wsi. To jednak było najtrudniejsze, gdyż byli skryci, nieufni, żyjący całkowicie odrębnym życiem.

Strażnica była z typu tak zwanych policyjnych. Murowana, solidna, wygodna, otoczona starymi drzewami. W dół, ku rzecze, zbiegał ogród warzywny, w którym na grzędach złożyły się tarcze słoneczników, chwiały roztrzęsioną grzywą konopie i zwartą runią

¹⁾ p. o. = posterunek obserwacyjny.

z. = zasadzka.

naci pyszniła się obfitość ziemniaków. Przy brzegu był wolny pas pięciometrowy, obrzeżony tuż nad wodą wąskim pasmem sitowia. Dalej zaczynała się topiel błotna i woda, w najgłębszym miejscu dochodząca do sześciu metrów. Na przeciwnym brzegu piętrzyły się wysokie, poszarpane, jałowe wzgórza, wierzchołkami których nocą krążyły bolszewickie patrole. Wzgórza tu i tam przerżnięte były jarami, prowadzącymi hen, ze stepu, w kierunku zawsze mętnej, powolnej wody.

Strzelec Mróz najchętniej chadzał na patrol koło młyna. Słonecznie tu było i wesoło. Woda z hukiem przelewała się przez stawidła, tarzała się po kamieniach, to znów chowała się gniewnie pod pokrowcem srebrnej piany. Mróz stawał na mostku i, jak urzeczony, patrzył w toń. Gdzież to pędzą te wody? Jakie wsie i miasta ominą, zanim roztopią się w czarnych falach morza? Jacy ludzie będą się w nich kąpać? Gdybyż tak, zwyczajem rozbitków morskich, napisać słów kilka i w zakorkowanej butelce z prądem puścić?

Często na mostek wychodził młynarz. Ubielony był cały. Pył mączny osiadał mu na rzęsach i brwiach, policzkach i włosach, czyniąc go trochę podobnym do kłowna cyrkowego. Stary miał dwie pasje: córkę Eudoksję, którą kochał nad życie, i fajkę, nieodłączną towarzyszkę na długim cybuchu. Córka była piękna, jak ta majowa zorza. Strzelec Mróz zapominał języka gdy

dziewczyna wychodziła ze swego pokoiku i biegając plawiła się w słońcu. Czasami zagadywała go, lecz temu wówczas wszystkie zawczasu przygotowane słowa wietrzały z głowy — więc milczał. Ona zaś śmiała się.

— Cemu pan taki milczący? Nie chce pan mówić ze mną?

— Nie wolno na służbie rozmawiać — burknął, czerwieniejąc.

— To niech pan przyjdzie po służbie. Pokażę panu swe gospodarstwo.

— Zobaczę... — Mróz nie chciał nic obiecywać.

Ukazał się młynarz i, stanąwszy na mostku, gwałt.

— Ot woda, pieni się i leci, a dokąd leci — Bóg wie. A w wodzie rybki. A tu, pod kołem, sum wielki. Aj — aj, jaki wielki. Chyba na wzrost człowieczy. Już go widział parę razy. Bywało wodę wstrzymam, spokojnie jest, bardziej miałko, tak on wychodzi na słońce pogrzać się. Uf, i wielgachny! Grzbiet jak ta deska...

Dłuższą chwilę cmokał swą fajkę, aż podjął na nowo:

— Albo ten jar za rzeką.... Pogranicznik idzie wzdłuż brzegu, dojdzie do jaru i zginie. A dlaczego zginie? Bo tam jest przekop maleńki, którym on do starych okopów dostanie się. Na burcie poukładał kamienie i przez szparę patrzy, widzi wszystko, sam nie

będąc widziany. Chytra sztuka... A sam ten urwisty jar... Dawniej to była droga. Wozami do brodu zjeżdżali. Teraz i brodu nie ma i drogę deszcze do cna rozmyły, krzewy i trawy ją zarosły. A na tej tamie wszystko się zatrzymuje, co woda niesie. Tu i zdechły kot, i pies, i kura albo gęś; zdarzy się też, że i człowieka przyniesie... Wiadomo — wodzie wszystko równo...

Strzelec Mróz słuchał gadaniny starego, patrzył na wzgórze przeciwnej strony, gdzie na prawo przy lesie czerwieniły się dachy sowieckiej „zastawy“ i myślał o swych dzieciennych latach, spędzonych w odwiecznie polskim Kamieńcu Podolskim. Gdyby tak pojechać prosto na wschód — trafiłby z pewnością. Możeby odnalazł brata, którego, wyjeżdżając przed kilku laty, pozostawili u ciotki chorego niemal śmiercią. Tęgi wyrostek musi być z niego.

Woda szumiała po kamieniach tamy, szeleściła w ciepłym wiatyku schnące powoli liście kukurydzy. Jesień uśmiechała się bladymi promieniami słońca.

Strzelec Mróz zeszedł ze służby dopiero po północy i zasnął twardo jak kamień. Ostatkiem gasnącej świadomości słyszał, jak dowódca strażnicy nadawał telefonicznie meldunek sytuacyjny:

„P. o. 1 słyszał o godzinie 22 dwa gwizdy po sowieckiej stronie, a jeden po naszej.

P. o. 2 meldował wzmożony ruch patroli po sowieckiej stronie i turkot.

P. o. 3 zauważył o godzinie 14,10 trzech kawalerzystów, którzy pławili konie...”

Reszta słów rozplynęła się w słodkiej niemocy, kołyszącej znużone członki strzelca Mróza.

Zbudziło go gwałtowne szarpanie za nogi.

— Wstawać, wstawać, alarm!!!

Mróz zeskoczył z łóżka, pięścią przecierał oczy i słuchał: tam, na dworze, grzmiała bliska strzelanina, pękały z hukiem granaty ręczne i dziko krzyczeli jacyś ludzie.

Wyrwani z głębokiego snu, strzelcy chwyтали za karabiny i wypadali przed strażnicę. Sierżant ustawiał ich na z góry wyznaczonych stanowiskach.

We wsi panował zgłęb, zawrodoenie i popłoch. Wojna krwawym widmem stała się mieszkańcom w oczach. Wojna, a więc ogień armatni, zniszczenie ich sadyb, utrata chudoby, ucieczka, tułaczka i nędza. Pakowali się pośpiesznie, wrzucali na wozy to, co im pod rękę wpadło, wyprowadzali bydło, podczas gdy inni stali bezmyślnie, patrząc na tamtą stronę, gdzie ciemność nocna raz wraz rozdzierana była krótkim, oślepiającym wybuchem, po którym kir nocy zdawał się być jeszcze bardziej nieprzeniknionym.

Strzelec Mróz, postawiony nad rzeką, skrył się za starą wierzbą i teraz, dygocząc z zimna i wewnątrz-



Kilkanaście muskularnych ciał skoczyło do wody.

nego niepokoju, doprowadził do porządku szczegóły umundurowania. Pas z ładownicami, przewieszony przez szyję, i dwa granaty ręczne, które pieczołowicie złożył w dziupli drzewa, stanowiły jego ekwipunek obronny. Ściskając karabin w garści oczy wbił w mrok po drugiej stronie rzeki, pragnąc wyśledzić, co tam zaszło. Że nie chodziło tu o zamiary zaczepne bolszewików względem strażnicy domyślił się z tego, że kule nie gwizdały tu wcale.

Wreszcie zaczęło szumieć i w miarę, jak rozwidniało się, dostrzeżono na zboczach biegnących półkołem wzgórz gromadkę ludzi, zsuwających się ku rzece. Czasami odwracali się, strzelając do ledwie widocznych, otaczających ich cieni. Oto dopadali już do wody, oto porzucali ubrania, oto plusnęła broń, po-
grążając się w ciemnej tafli rzeki, oto kilkanaście muskularnych ciał skoczyło do wody, płynąc na polską stronę.

Pozostałych kilku bezradnie kłębiło się na kamiennym brzegu. Pierścień prześladowców zaciskał się, a jednocześnie coraz bardziej tryumfujący wstawał dzień. Słońce wyłoniło się z poza skalnej bariery wzgórz na sowieckiej stronie i pierwsze jego groty jaskrawo oświetliły rzekę i pobliskie domy, wyławiając z ciemności ostre zarysy budynków i drzew, oraz kładąc w przeciwną stronę silne cienie.

Kule bżykały bez przerwy, rwały brzeg i trzaska-

ly po kamieniach, jak biczem. Kąśliwy poślaniec śmierci trafił jednego z biegnących nad brzegiem uciekinierów i ten bez jęku zwałił się na ziemię. Z cichym bulgotem wypłynęła pieniaą się krew, powieki parę razy podniosły się i opadły, twarz szybko żółkła. Pozostali, podnieceni tym widokiem, wpadli ciężko, niezgrabnie do wody. Nie było wyjścia. Tu kula bolszewicka lub niewola i tortury, gorsze od kuli, tu znów śmierć w nielitościwych falach rzeki...

Pogranicznicy byli już całkiem blisko i strzelali starannie, jak do zwierzyny. Była to zwykła rzeź, w której nasi żołnierze nic uciekającym nie mogli dopomóc, dopóki ci nie znaleźli się poza środkiem rzeki, a więc na polskim terytorium. Strzelec Mróz widział, jak walczyli oni z prądem rzeki i śmiertelnym strachem, widział, jak jeden trafiony zanurzył się pod wodę i nie wypłynął więcej, drugi zaś, trafiony widocznie, zabarwił wodę czerwoną plamą krwi i poszedł jak kamień na dno. Trzeci, najmłodszy, rozpaczliwie łutk rękami wodę, nie dawał się głębi, powoli zbliżał się do brzegu.

— Nie bojś, Moroz! — wołali z zęśliwsi jego towarzysze, stojąc już na polskiej ziemi.

Strzelec Mróz dopiero usłyszawszy to nazwisko. Rysy walczącego o swoje życie mężczyzny wydały mu się znajome. W tej chwili jednak do strzelca szybkim krokiem zbliżył się dowódca strażnicy.

— Mróz, skoczycie na strażnicę. Musicie za wszelką cenę połączyć się z odwozem kompanii i zameldować panu kapitanowi, co tu się dzieje. Wieczorka odeślecie tutaj. Fujara, nie umie sobie poradzić z telefonem.

— Rozkaz! — powiedział strzelec Mróz, oglądając się na odchodnym na rzekę, po której, jak korek, pływała jeszcze głowa osobnika, nazywanego Morozem.

Ustawiony w miejscu strzelca Mroza Wieczorek potrzebował dłuższej chwili na połapanie się w przebiegu wydarzeń. Jego rozlane, jakby zatarte rysy wyschły wówczas przez współczucie dla borykającego się z prądem człowieka. Jakiś czas wahał się, niby wając w sobie trudne postanowienie. Przemógł się wreszcie i, zdjawszy oporządzenie, zanurzył się w wodzie, czując, jak nogi po kolana wchodzą w gęstą maź. Usiłował podać tonącemu ułamaną gałąź wierzby, lecz była zbyt krótka. Więc posuwał się dalej. Dno stawało się nieco twardsze, ale zarazem wymykało się spod nóg. Musiał płynąć, wpatrzony w tamtego, co szarpał się ostatkiem sił. Widział jego wysadzone przez strach i wysiłek oczy i krzyknął:

— Trzymaj się!

Błysk szczęścia rozjaśnił twarz tonącego i nagle zgasł. Przerazenie i ból wykrzywiły jego rysy i jak odzew zabrzmiało wołanie: „Ratunku!“ Woda por-

wała go. Jeszcze raz wychynał, jeszcze raz ujrzał twarz żołnierza z jarzącym się nad nią orzelkiem.

— Ratunku... — zachrypiał raz jeszcze, poczem woda natarczywie wdarła mu się w usta i nos, zaszuwała w uszach, zakręciła, poniosła...

Wieczorek wolno zawrócił do brzegu, wygramolił się ociężale, a potem, trzymając karabin w garści, drugą zwinął w pięść i krzyknął, grożąc pogranicznikom z przeciwnej strony:

— Mordercy!

Uratowało się piętnastu. Byli to uczestnicy jednego z licznych powstań miejscowych na Podolu sowieckim. W uspokojonej wsi zarządzono doraźną zbiórke, aby przydziać drżących z zimna i świeżo przebytych wzruszeń uciekinierów. Przystrojonych w dziurawe portki i koszule odesłano do dowódców kompanii, a na strażnicy i we wsi życie poszło zwykłym trybem. Zajęty służbą strzelec Mróz nie zdolał nawet urwać kilku minut na przepytanie się wśród partyzantów o tajemniczego Moroza. Zresztą rozkaz dowódcy nie pozwalał na wdawanie się w pogawędki z przybyszami z tamtej strony.

Trzeciego dnia strzelec Mróz miał wolną dobę. Po śniadaniu wybrał się do łąki — niby na spacer, rzeczy samej w nadziei zobaczenia Eudoksji.

Był piękny majowy poranek. Nad wodą kilka bab prało sznury, łomocząc kijankami, aż echo rozlegało

się w stromych ścianach przeciwległego jaru. Głębokie bezsprzecznie bardziej harmonizowały z otoczeniem, aniżeli niedawne jeszcze echa strzelaniny, śpiewów i mordów. Mrozowi zebrało się na sentyment. Przypomniały się „cywilne“ czasy, dobre, piękne książki i nierzeczywista wprost w tych warunkach — poezja. Taki, na przykład, wierszyk „Baby“:

„Wietrzyk jest wesóło
nachodził...“

Pospadały się baby
wieczorem:

rozgadały — plotkowały —
powiadały — obracały
jęzorem.

Te koszule ich bielsze
od mąki,

a spódnice szumiące
jak bąki:

bufiaste — pasiaste —

kropiaste — kraciaste

jak ląki¹⁾.

Jedna z piorących kobiet zgrabnymi rzutami zgarbiała wyrzucone w wodę płótno. Czarna, jak cyganka, szczerzyła do Mroza zęby. „Durna, czego się śmie-

1) Xenia Żytomirska.

je?“ — gniewał się w duchu. Na murawie bieleły pasy rozłożonego na słońcu samodziału, obok poważnie spacerowały wrzaskliwe gęsi. Mała dziewczynka ciągnęła za rękę ledwie umiejące chodzić maleństwo. Oboje obficie wysmarowani naftą. Strzelec Mróz zainteresował się tym.

— Czemuż to dzieciom głowy smarujecie naftą? Robactwo?

— A cóż — odpowiedziała czarnucha — wiadomo, w polu pracy dużo, dozór trudny, tak i zalegnie się.

— Lepiej sabadyllą. Od nafty psują się włosy.

— Takim małym nafta nic nie szkodzi.

— Cóż to, wasze dziecko? — zagadnął inną, wyglądającą na lat osiemnaście. Nie wierzył temu. Ot, zapytał dla śmiechu.

— A pewni. Siedemnaście lat miała, jak zamąż wyszła — roześmiała się młoda mężatka.

— Mąż jej teraz w trzeciej baterii 12 regimentu w Złoczowie służy — wtrąciła się inną, w tym dziwnym żargonie, będącym mieszaniną języków polskiego, ukraińskiego i rosyjskiego. Stały pobyt w nadgranicznej miejscowości i wojenna wadrówka po Rosji kształtowały tę pokraczną gwara.

Ale Mroza pochłonięta już inną myśl.

— Powiadacie, że tu tak głęboko? — rzucił pytanie.

— Spróbujcie, panie — wyzywająco odpowiedziała czarna. — W tym miejscu już się trzech waszych utopiło.

— Dwa lata temu kapali się żołnierze — podjęła ta, która płókała płótno. — Jeden drugiego uczył pływać, potem wyprowadził tu, na głębie, i puścił. Tak ten rączkami chlap — chlap! „Jezus — Maria, ratunku!“ — krzyknął. Tonia. Dopiero żołnierze po brzegu biegają, krzycząc, a ten co go tam wprowadził — biały jak ten papier i włosy z głowy rwie... Tak i utonął.

Mroźowi zrobiło się nieprzyjemnie. Pożegnał się i poszedł dalej. Wierzby i czeremcha tworzyły nad ścieżką jakby zielony baldachim, przez który przeświecało błękitne niebo z białymi zwałami obłoków. Po lewej ręce w szuwarach szemrała rzeka.

Oto i młyn. Przy tamie młynarz z grabkami w rękach wylawiał różne śmiecie, odrzucając je w bok. Jak zwykle mruczał coś do siebie. Strzelec Mróz wszedł na tamę, przywitał się ze starym i splunął z obrzydzeniem na widok wydobytej kaczki, z której po dłuższym pobycie w wodzie pozostał tylko kawałek oślizgłego mięsa i dziób.

— To nic strasznego, panie żołnierzu — zaśmiał się młynarz. — A oto popatrzcie, jakiego suma woda dziś przyniosła...

Dziwna rzecz: w głowie strzelca Mroza kołaczę się zwrotka wiersza:

“...a spódnice szumiące jak baki...”

Ale jest daleki od jakiegokolwiek podejrzenia.

Mróz spojrział, postąpił parę kroków i znów stanął.

Opodał na kamieniach, z wiązką pachnącej mięty i piołunu pod głową, leżał topielec, nabrzmiały, odrażający i zarazem taki biedny...

Coś nieodparcie ciągnęło Mroza bliżej. Podejść, popatrzeć. To chyba ten, co utonął tej pamiętnej nocy?

Wielkie muchy z brzęczeniem krążyły obok twarzy topielca, u którego nad lewą brwią ciemniała duża szrama, pamiątka chłopięcych karesów. Strzelec Mróz spojrział raz jeszcze, przypominając owe „nie boję Moroz” i z cichym jękiem padł przy trupie na kolana:

— Michaś, więc to ty, bracie!.

KTO PIERWSZY — TEN LEPSZY

Razem chodzili do szkoły, razem się bawili, do jednej zalecali się dziewczyny, razem też — jednolatki — poszli do wojska. Jak przystało na nierozłącznych przyjaciół, przed wyjazdem do pułku udali się do Zosieńki. Pożegnanie było krótkie i nieomal łzawe:

— Będiesz na mnie czekać? — dopytywał Zygmunt.

— Napiszesz do mnie? Przyrzekłaś... — upewniał się Jerzy.

— I będę czekać, i napiszę — śmiała się perliście dziewczyna. — Ale którego wolę — nie wiem. Chyba tego, który pierwszy wróci!

Zygmunt był synem ogrodnika w powiatowym miasteczku. Jerzy jednakiem miejscowego notariusza. Różnice w stanowisku społecznym rodziców nie dzieliły młodych, przeciwnie — stanowili parę serdecznych przyjaciół.

Ramię przy ramieniu wychylali się z okna wagonu, kiedy Zosieńka powiewała chusteczką za odjeżdżającym pociągami. Zygmunt zdobył się na odwagę i

przesłał w powietrzu pocałunek. Jerzy, aby nie pozostać w tyle — dwa.

Zosieńka zadowolona ze spełnionego obowiązku, wyszła przed dworzec gdzie już na nią czekał pan Julian, dziarski bombardier z konnej artylerii, syn kupca z rynku (mydło, nafta, zaprawa do podłóg...).

Kilka miesięcy twardej, żołnierskiej służby minęło jakby z bicza trzaśł. Chłopaków anibyś poznał: pierś naprzód, łeb do góry, gęba puciołowata, ogorzała, rumiana, jak to jabłko w sierpniowym słońcu, mina — jak sto diabłów! Aż tu nagle wszystkich poruszyła wiadomość: jutro pułk wysyła tylu a tylu ludzi do Korpusu Ochrony Pogranicza.

W liczbie „chłopców wybieranych“ byli zarówno Zygmunt jak i Jerzy, ale Jerzy, który właśnie zanie-mógł, leżał na Izbie Chórch. Wychylając się przez okno przyglądał się zbiorce odchodzących do KOP kolegów, słuchał przemówienia pana pułkownika a potem pułkowego marsza. Wywierał zawsze na nim przejmujące wrażenie, tyle w nim było porwijącej mocy. Twarze kolegów były radośnie pełne oczekiwania.

Jerzemu zaszkliły się oczy. Odwrócił się: za nim na smutnej, białej ścianie uszeregowały się łóżka. Leżeć tu w ciszy bezczynnie, podczas gdy tamci... Coś go ułapiło za gardło, a niemięskie łzy załaskotały pod po-

wieką. Jerzy zdecydował się szybko i wpadł do pokoju sanitarnego sierżanta.

— Panie sierżancie! Bardzo, bardzo proszę. I ja chcę jechać do KOPu!

— Co znaczy „ja chcę“? Przecież macie gorączkę. A do łóżka! Zresztą kto wam pozwolił wstać?!

Ale Jerzy tak łatwo nie dawał za wygraną. Przed drzwiami kancelarii natrącił na dowódcę kompanii. Melduje się. Prosi.

— Panie kapitanie, cóż to za gorączka: 37 i dwie kreski? Czyż na froncie kto uważał na takie drobnostki?

Kapitan uśmiecha się z tragicznej miny strzelca i każe wołać szefa. Tymczasem nadchodzi porucznik-lekarz. Zarazem melduje się szef.

— Cóż robić, sierżancie, jeśli tak bardzo chce jechać i skoro są z tamtym tacy bracia sjamscy, to niech jadą razem — powiada kapitan, patrząc pytająco na doktora.

— Nic poważnego... Ostatecznie może jechać — zauważa porucznik.

— Uczepił się jeden drugiego, jak rzep psiego ogona... — mruczy gniewnie szef.

Jerzy chętnieby się rzucił dowódcy kompanii na szyję. Taki dobry, kochany, wyrozumiały! Ale gdzież karność? Więc z gardła strzelca wyrывa się tylko krótkie: — Dziękuję, panie kapitanie!



Idą do zdobnej w basztę strażnicy.

Zanim dostali się na strażnicę, przeszli jeszcze kilka miesięcy ćwiczeń. Upragniona granica, cel ich marzeń, była coraz bliżej.

A tu wiosna w całej pełni. Przewiew wdzięczą się, ustrojone w młode liście, jak narzeczoną, idącą do ołtarza, inne zlane strugami wonnego kwiecia, chwieją się z lekka w pogodnym powiewie południowego wiatru. Nad polami kołysze się ruchliwa, dzwoniąca kulka krowonek, a po zachodzie słońca z pobliskiego strachu gra kapela żabia. Cudnie jest na świecie. Młode serce wyrwa się z koszarowych murów i pragnęłoby o coś walczyć i czegoś dokonać dla młodej ojczyzny.

Nareszcie, nareszcie. Oto zdążają już do stojącej poza wsią, zdobnej w basztę strażnicy, oto meldują się zgodnie jednym głosem u plutonowego, dowódcy strażnicy. Dzielny ten wojak, o twarzy zdobnej głęboką szramą (pamiątka spod Kijowa), pochodzi z Pomorza i służbę zna. Widać to zaraz po ogólnym wyglądzie drogi, strażnicy i jej załogi. Plutonowy przyjrzał się im uważnie. Kazał zrobić „w prawo, w lewo, w tył zwrot“, osądził, że wygląd jest dobry i uśmiechnął się łaskawie. A chłopcom jakby promień słoneczny na serca padł. Poczuli, że im będzie tu dobrze.

Był lipiec i od tygodnia zdawało się, że wszystkie

deszczowe chmury z całej Polski zbiegły się nad nie-
szczęsną strażnicę i okolicę. Lało i lało bez przerwy.
Drogi zamieniły się w zbiorniki błota, rowy w potoki,
rzeczka w spienioną, rwącą, szeroko rozlaną rzekę.
Płaszczce i mundury strzelców nie wysychały nigdy,
karabina nie można było się doczyścić, rzemienie ryn-
sztunku sflaczały, a suszone gwałtownie — pękały.
Cała strażnica jakby przygasała. Strzelcy chodzili oso-
wiali, pokaszując ciągle, a nawet sam plutonowy, po-
wtarzając co chwilę „zaś pioruna“ — był nieomylnym
znakiem, że jest niedobrze. Jednocześnie wzmożła się
działalność przemytników i już dwukrotnie czyjeś
szkodne ręce zniszczyły wiechy graniczne.

W takich warunkach pełnienie służby było ciężką
próbą, którą należało spełniać wytrwale, zaciskając
zęby. Daleko jeszcze przed świtaniem wypadła kolej
na Zygmunta i Jerzego. Podnosząc kołnierze u płasz-
czów pytali głosem, w którym drżała iskra nadziei:

— Wypogadza się?

— Juźci — wypogadza się! — usmiechnął się
półgębkiem kapral. — Nie zapomnijcie wziąć para-
solki na wacie...

— I zimowe gacie — dodał ktoś z kąta.

Rzeczywiście deszcz lawonił o szyby, ściekał ró-
żanecem gęstych kropli z dachu, bębnił po kałużach i
skulonych postaciach idących strzelców, którzy czuli
jak ich płaszczce nasiakają, puchną wodą. Po przej-

ściu paruset metrów w butach było mokro, a zanim
dotarli na miejsce — płaszczce ciążyły jak z brzozy, a
od szyi po barku i biodrach zaciekało. Burza po-
goda! — otrząsał się Jerzy.

Noc była ciemna, powietrze wilgotne, parne i ja-
kieś ciężkie. Z trudem odnaleźli zasadzkę i Jerzy, jako
„starszy“, zapytał szeptem:

— Nic ciekawego?

— Zdaje się, jakby tu niedaleko zajechała fura.
Coś jakby parsknęła koń. Ale minęło już z pół godziny
i cisza. Chyba mi się zdawało... — powątpiewał strze-
lec, rozkoszą zabierając się do odmarszu.

Odeszli. Trzasnęła leciutko gałązka, chlupnęła
woda w leśnej koleinie. Po pniach niebosiężnych sosen
goniły się z cichutkim szmerem strumyki deszczowej
wody. Poza tym panowała niezmacona cisza. Jerzy u-
kucnął wygodniej, karabin krzepko ujął w garść i za-
marł w bezruchu. Wiedział dobrze: tuż u podnóża
górki, na szczycie której siedzieli, krzyżowały się dwie
drogi leśne — ulubiony szlak przemytników sacha-
ryny, spirytusu i rodzynek. Tędy też szmugłowano za
granicę ludzi, którym w kraju zaczynała się palić pod
stopami ziemia.

Zwolna płynęły minuty i kwadranse, deszcz jakby
ustawał, niebo na wschodzie lekko zaczynało szarzeć,
kiedy szelest jakiś dobiegł do uszu strzelców. Drgnęli
obydwaj i wpatrzyli się w kawałek bielejącego piasku

drogi. Znów szelest i niewyraźny cień zachybotał się na drodze.

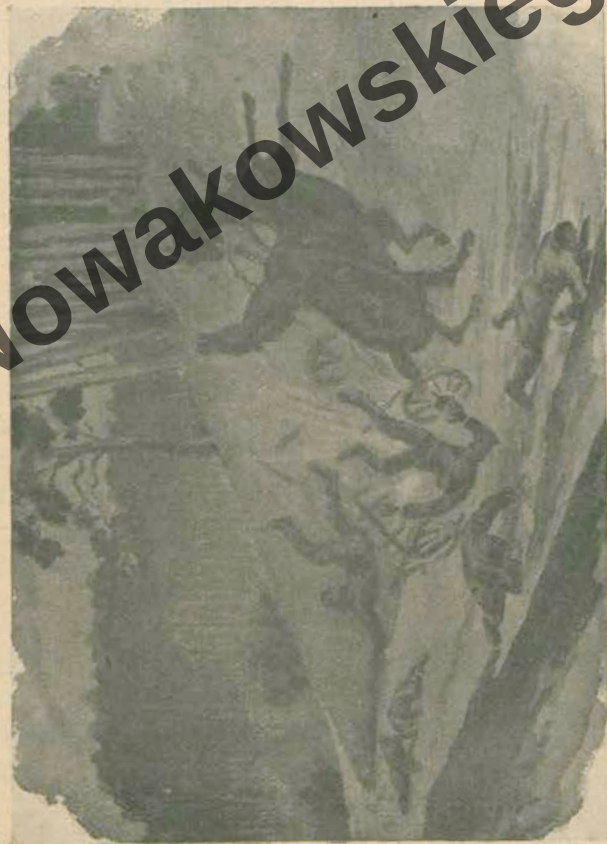
— Stój, kto idzie?! — zagrmiał Jerzy.

Cień rzucił się w gęstwę przydrożnych krzewów i w tejże chwili gruchnął wystrzał, a w ślad za nim rozległ się głęboki jęk.

Z bronią gotową do strzału zbiegał do tego miejsca Zygmunt, a kiedy znalazł się już na drodze, nagle posypały się liczne wystrzały i Zygmunt bez słowa, ciężko jak wór zboża, zwałił się w piasek. Jerzy skoczył mu na ratunek, ale uderzony czymś ciężkim w głowę runął obok kolegi. Ból rozsadzał mu czaszkę, ogniste gwiazdy migwały w oczach, kiedy opierając się na łokciach dostrzegł, jak cienie ludzkie zabierały im karabiny, z którymi śpieszyły do opodal stojącej fury. Zabierają karabiny? Jakżeż to będzie — bez broni? Ta myśl, niczym ognista igła przeszła jego świadomość i ona podszeptała mu, że w kieszeni płaszcza ma jajowaty niemiecki granat. Z tłumionym jękiem przyklęknął, druciane ucho zaczepił o koniec bagneta, szarpnął, odliczył i prasnął granatem w ruszającą już furę. Potem opadł ciężko na ziemię. Nastąpiła chwila ciszy, a potem „huk jak sto gromów“! Kwik koni, urwany krzyk ludzi i znów cisza.

Deszcz ustawał; w gałęziach drzew odezwały się ptaki.

Szczyty sosen zaróżowiły się już w mdłym po-



I prasnął granatem w ruszającą furę.

brzasku poranka, gdy wzrok Jerzego spoczął na głowie przyjaciela. Czapka spadła i leżała obok pod krzakiem jałowca, twarz przecinała na pół wąska struga krwi, a pod oczami rozkładały się sine cienie.

— Zabili go — była ostatnia myśl Jerzego. Za czym mdły kłębek podtoczył się pod gardło i strzelec stracił przytomność.

Po długotrwałym omdleniu ocknął się z zabandażowaną głową w szpitalu. Zrazu nie pozwalano mu mówić, a wogóle nikt nie umiał go poinformować o losie jego przyjaciela. „Zginął, oczywiście zginął — zamartwiał się Jerzy. — taki dobry chłopak, dzielny żołnierz i jedyny kolega... Jak ja to powiem w domu, jak to przyjmie Zosieńka?”

Dość powierzchowna rana goiła się szybko, a do zdrowia doprowadził go ostatecznie uzyskany dziesięciodniowy urlop. Jednak w wagonie, napadły go ponowne wątpliwości. Będzie zwiastunem nieszczęścia. Czarnym krukiem... O takiej roli nie myślał nigdy.

W stolicy na dworcu połapał się, spojrzawszy w lustro, że jest nieogolony od kilku tygodni i wygląda na pustelnika lub kalwaryjskiego dziada. Wszedł zatem do pierwszego napotkanego zakładu fryzjerskiego i rozsiadł się w fotelu. Był niewyspany, przy tym sierpniowy upał rozprawił go na dobre.

W głowie szumiało. Mile łechtany fryzjerskimi za-

biegami zasnął smacznie, a obudzony do płacenia stuknął ku wielkiemu zdumieniu fryzjerczyka: „Jaka taka rola...”

Rozklekotany autobus dowioził go do rodzinnego miasteczka. Nic się tu nie zmieniło. Te same „kocie łby” na ulicach, kościół, otoczony starymi akacjami, rynek, żydowskie budki z kwasem; wracający z ćwiczeń batalion piechoty, miesił kurz na drodze i śpiewał modną piosenkę „Gdy będziemy znów we dwoje” (Jerzy usłyszał ją się gorzko) — wszystko jak dawniej, tylko jedno młode życie zgasło przedwcześnie...

Wyskoczywszy przed domem wbiegł w jego progi, zawsze odżywającym uczuciem chłopca, powracającego z wycieczki. Namacalnie prawie odczuwał dotknięcie matczynych ust na pochylonej głowie i pieśczętę jej delikatnych, wędnących rąk. Ale mieszkanie było puste. Służąca załamała ręce ze zdziwienia:

— Pan w interesie, pani dopieruteńko co wyszła na miasto! A panicz już ze szpitala?

Przytaknął jej sennie, umył się, oczyścił z kurzu i wolnym krokiem podążył w boczną uliczkę, gdzie mieszkali rodzice Zygmunta. Po drodze witali go znajomi, ale był jakby nieco błędny.

Kiedy wszedł, od okna wstała na spotkanie matka Zygmunta.

— A, Jerzy! Co, już ze szpitala?

Dopiero teraz zdziwił się, że wszyscy wiedzą, iż

wraca ze szpitala, ale pomimo to przybrał najbardziej poważną i żalostną minę, na jaką go było stać, i powiedział:

— Niestety, przychodzę do pani jako zwiastun... Zygmun...
Zygmunt...

Nagle otworzyły się drzwi i głos, właśnie Zygmunta, zawołał:

— Serwus, Jerzy! Jak się masz, stary?!

„Zwiastun“ obejrzał się i siadł na pobliskie krzesło. „Nieboszczyk“ stał w progu, trzymając się za rękę z Zosienką, która podbiegła do Jerzego i powiększała jego oszołomienie klaskaniem w dłonie i okrzykami:

— A widzisz: mówiłam — kto pierwszy, ten lepszy!

— Czekaj, sroko! — rozgniewał się Jerzy. Czuł, że rola jego w tej sztuce jest nieszczerólna. — Gadał Zygmunt, co się tam właściwie stało?

— To ty nie wiesz? Przemytnicy przewieźli sacharynę, spirytus i kasjera, który defraudował pieniądze i wiał na Litwę. Ję po pierwszym wystrzale był udany, aby wywabić zasadzkę. Ale strzelać zaczął ten defraudant. Tu — pokazał na policzek — trafił, wybijając dwa zęby. Dobrze, że nie w język lub w krtani. Drugą kulą drasnął mu po czubku głowy. No, potem już nie mógł wyjść. Musieli iść na całego. Aleś im dogodził, ten defraudant zabity — znaleźli przy

nim 32 tysiące, a więc prawie wszystko — tamci dają i woźnica ranni. Zaraz też nadbiegł patrol, zabrali wszystkich. Resztę historii znasz... Mają cię przedstawić do „krzyża zasługi za dzielność“. Zarządzają ci tego wszyscy.

— Chodźno ze mną na chwałę — powiedział Jerzy poważnie, niemal wrogo, chwytając przyjaciela za rękę i ciągnąc go do ciemnego, dworkowego alkierza.

— A ty nie miałeś nic innego do roboty, jak czym prędzej lecieć do domu i usidlać tę dziewczynę?

— A tyś chciał, abym w szpitalu czekał, aż ty to zrobisz? — Zygmunt wałnął po łopatkę Jerzego, aż ten się skulił. — Zresztą, mój drogi, zaręczam ci, że jej nie usidlałem. Sama wlała w sieć. A teraz daj pyska. Wrócimy chyba do strażnicy z pogodną twarzą, co?

LIST MUSI BYĆ INTERESUJĄCY

Strzelec Plewa długo i starannie golił się, a potem mył w zimnej wodzie, prychając jak koń. Później uściłował z zapalą, godnym lepszej sprawy, przy pomocy „brylantyny“ i grzebienia zrobić coś w rodzaju przedziału w swych krótko przystrzyżonych włosach.

Kolega jego, strzelec Matusz, odłożywszy czytanego „Żołnierza“, przez chwilę przyglądał się z zainteresowaniem tej toalecie.

— Wybierasz się na wieś? — zapytał wreszcie.

— Yhm. Pojęcia nie masz, bracie, jaką tam dziewczynkę poznałem.

— Dziewczynkę? Przecież, o ile wiem, u siebie na wsi, masz narzeczoną?

— No i co z tego? Maryśka daleko, a ja tu sam. Zresztą i ona tam nie próżnuje.

— Słowem „każdy sobie zębki skrobie“. Nie powiem, aby to było zbyt budujące.

Plewa nie odpowiadał nic i jakby dla okazania swego lekceważenia dla skrupułów kolegi, zaczął gwizdać. Był ubrany i sięgał po czapkę z miną tryumfatora, którego samo ukazanie się rzuci całą ludność

wioski jemu pod nogi. Ubodło to cokolwiek Matusza.

— Ty, Plewa, zapalisz?

Plewa był nie od tego. Chętnie wyciągał rękę po tytoń i bibułkę, z namaszczeniem skracając papierosa. A wtedy Matusz ze złośliwą obcością:

— Jeżeli się już jest takim elegantem, jak ty, to trzeba pamiętać, aby za paznokciami nie nosić żałoby.

Plewa cofnął rękę jak oparzony.

— Niby jak? — kapytał machinalnie.

— A na tak za paznokciami masz całotygodniowy brud. Czasu tam nie ma. Jeżeli ta twoja dziewczyna ma choć trochę ogłady towarzyskiej, to więcej ciebie na to czy widzieć nie zechce.

Plewa poczerwieniał jak piwonia i, bez słowa, zakręciwszy się na pięcie, wyszedł z izby.

Matuszowi też zrobiło się nieprzyjemnie. Czy nie mógł swej uwagi uczynić w delikatniejszy sposób? Tak zaś wyrządził koledze przykrość. Wstał z ławy i wyjrzał oknem z myślą, by iść, przeprosić Plewę. Ale Plewa już szedł przez podwórze, starannie scyzorykiem czyszcząc paznokcie.

„Pogadam z nim, gdy wróci“ — pomyślał Matusz, opierając czoło o zimną szybę. Był sam, a w koszarach czy na strażnicy tak trudno o chwilę samotności. Patrzył w zadumie na podwórze strażnicy, na ścięte przymrozkiem błoto, na przyprószone śniegiem grządki ogrodu warzywnego, z takim zamilowaniem

uprawianego przez strzelców. Toć niejedyn dopiero tutaj, w KOPie, nauczył się uprawy pomidorów, ogórków lub truskawek. Toć do dziś dnia są w Polsce całe okolice, gdzie nie uznaje się innych warzyw, jak kapusta i buraki. Tu na strażnicy, przekonali się, jak dalece można urozmaicać ubogą wiejską kuchnię, gdzie, jak rok długi, je się kartofle, kartofle, kartofle...

Myślał Matusz o szarym beznadziejnym niemal życiu polskiej wsi. O tym, jak wiele pracy trzeba tu włożyć, by wreszcie podnieść tę wieś na jaką taką wyżynę. Myślał o pionierskiej pracy nauczycielstwa polskiego i o poczynaniach KOPowych, o tej szlachetnej ambicji, by nie tylko strzec tej ziemi, lecz by jej też dopomóc. To, co oni tu, świecąc przykładem, czynili, było tylko małą iskierką na wielkiej przestrzeni błot i lasów, a jednak, z czasem, te iskiereki mają się zlać i zleją napewno jak gdyby w gorejącą pasmę, który na wieki ma związać Polesie z Rzeczpospolitą.

Trudne to były myśli i Matusz aż oczy zmrużył, jak wobec zbyt wielkiego źródła światła. W dodatku rozboleła go głowa, wargi opierały — czuł się nieszczególnie. Siadłszy na ławie, oparł głowę o ścianę i przymknął oczy.

„Plewa... — debatował leniwie — jaki właściwie jest Plewa? Przeciwny chłopak ze wsi. Ani zbyt dobry, ani specjalnie zły. Koleżeński, ale zarazem swego nie popuścił o nie. Odważny chłopak, to trzeba mu

przyznać. Jedną ma poważną wadę: lubi się chwalić. Co to on. Klękajcie narody. Sądząc z jego opowiadania to jest niemal za pan brat z samym starostą. Żyła dziewczucha się mu nie oprze... Wyobrażam sobie, co też on do domu, do swej narzeczonej o służbie w KOP'ie pisze...”

I tak jakoś, dość leniwie, zeszła reszta tej niedzieli Matuszowi.

Plewa wrócił z Płiną, która mówiła: Chłopaki, chłopaki, żeście wiedzieli o moich poczynaniach. Ale narazie nikomu nie mówił nic i po wieczery zasiadł do pisania listu. Matusz, idąc na służbę, rzucił list na zaadresowaną kopertę. „Wielmożna Pani Weronika“ było tam i dalej nazwisko, wieś i poczta. List do narzeczonej.

Plewa zaczął: „Kochana Weruško — i utknął na tym. Gadać było łatwiej, jak pisać. Gadać potrafi każdy, kto ma język w gębie, ale wypisać się... Plewa kręcił głową, ślinił koniec ołówka, aż mu na wargach i końcu języka wystąpiły fioletowe plamy, ale on, pochłonięty myślami, nie zważał na to.

O czym tu pisać, do licha, z takiej zagubionej w lasach strażnicy? Nie napiszesz przecie o służbie. Nie wolno. „Choćby cię smażyono w smole, nie mów o tym, co się dzieje w... szkole“. Nie, to nie pasuje. Na chwilę Plewę porwała pasja rymotwórcy. Jaki by tu doro bić rym, żeby pasowało do „smole“ i do KOP-u zara-

zem? Plewa zapomniał na chwilę o liście. Co, do diaska, tylu żołnierzy pisuje wiersze do redakcji „Żołnierza“, to i on potrafi. Cóż tu trudnego? Zapewne—coż tu trudnego? A jednak często się czyta w „Odpowiedziach redakcji“: Wiersze w koszu. Czyli w koszu na śmiecie. Plewa wzdrygnął się i z wolna odszukiwał stracony wątek.

Tak, pan sierżant stale powtarza, że nie wolno w listach wymieniać ani obsady strażnicy, ani przebiegu służby, ani nazwisk dowódców — słowem niczego, co się tyczy służby. Nie wolno pisać i nie wolno o tym z nikim postronnym rozmawiać, nawet w domu. Nawet z narzeczoną. Z nikim. Nigdy nie wiadomo, gdzie można natrafić na szpiega...

O tym Plewa pamiętał i dlatego też głowił się nad tym, co by tu napisać, aby list nie zaczynał się od słów „W pierwszych słowach mego listu niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus“ kończył się zaś całą litanią „Pozdrawiam wujka Pawła i wujenka Ogię, pozdrawiam Biegajów i pozdrawiam starą Zadrożną“...

List do narzeczonej musi być interesujący — powiedział kiedyś Matusz i słowa te zapadły głęboko w pamięci Plewy i raptem jakby pod wpływem natchnienia rozpoczął pisać co następuje:

„Muszę się podzielić z tobą tym, co mi się wydarzyło przed paru dniami podczas służby, na zasadzce.

Do dziś na myśl o tym włosy mi stają dęba, palce się trzęsą i mam podły apetyt.“

Tu Plewa pomacał się po głowie, na której wysmarowane obficie pomadą włosy zlepily się, tworząc szorstką, gruzłowatą szczecinę. Również jednak nie zamierzały „stawać dęba“.

„Otóż, jak ci wiadomo, kochana Weruško, dookoła są tu ogromne lasy, własność prywatna. Do niektórych kompleksów — tu Plewa zawahał się. Wyraz był obcy. Plewa wprawdzie słyszał leśniczego i pana kapitana, tak mówiących, ale teraz, gdy przyszło to napisać, nie był pewien, czy się mówi: kompleksów, kompletów czy kompletów? Więc choć go korciło użycie takiego wyrazu, który by mógł poświadczyć Weronce o jego postępach w wojsku, miał na tyle zmysłu samokrytycyzmu, że nie chciał się ośmieszać i dlatego dobrze użyty wyraz „kompleksów“ przekreślił i napisał: Do niektórych części lasu dostęp jest bardzo trudny ze względu na wielkie moczary i to jest powodem, że lasy tutejsze obfitują w jelenie, dziki, wilki, a nawet łosie i niedźwiedzie. We wtorek byłem na zasadzce z jednym swym kolegą, który choć miastowy, ale pietra miał galantego, jako że niedawno przybył z nowym rocznikiem i jeszcze nie wie co i jak u nas, na granicy. A ja, jak ci wiadomo, kochana Weruško, jestem swój chłopak i w kaszę nie dam sobie dmuchać...“

Przestał pisać i uśmiechnął się z zadowoleniem.

List układał się jak po maśle. Byle tylko nie zwątpić w swoje siły, a wszystko pójdzie jak najlepiej. Plewa rozmarzonym wzrokiem wpatrzył się w lampę, wspominając swoje urojone przewagi wśród rówieśników na wsi. Po chwili poślinił ołówek i zaczął na nowo:

„Zasadzkę mieliśmy w jednym miejscu przy ścieżce, którą chodzą przemytniki. Ostatnio tu chłopaki z naszej strażnicy nakryli paru Żydków, którzy przeprowadzali przez granicę jakieś indywidua...

Nie, ładne słowo, dźwięczne, z fasonem, można powiedzieć, ale... Przekreślił więc słowo „indywidua“ i napisał „typy“. Mniej ładne, ale ujdzie i starzy, kiedy im Weruśka będzie odczytywała list, pokręca głowami: „Aj ten Walek Plewa, wyraża się jak sekretarz gminny na posiedzeniu rady...”

„Siedzimy więc z tym koleżką w pewnej od siebie odległości, trzymamy straż (też ładnie powiedziane — pomyślał — jak w wierszu). Noc ciemna, że ciemno w pysk daj. Nagle słyszę — idzie ktoś czy coś wielki, czarny, sapiący... Odrzuć pomyślałem sobie „Niedźwiedź“. Ziajał, z morderczych było czuć wiadomo, taki zwierz, co na raz cielaka jak nie pozre. Ale ty wiesz, jaki ja jestem, kochana Weruśko. Polski żołnierz jestem: zgine, a nie cofnę się krokiem. Piorunem karabin do oka.

Tu Plewa musiał przerwać, bo kapral wrzasnął:

— Ty, poetnik, zbieraj się na służbę.

Plewa listu dokończył dopiero nazajutrz i z uczuciem ulgi wręczył go jadącemu do kompanii powo-
wiant koledze. Kolega kopertę wsunął do kieszeni ko-
żucha, siadł na sanie i pojechał. Plewa natomiast, wróciwszy do strażnicy, natknął się na Matusza i z wyrazem wyższości na przebiegłej twarzy powiedział od niechcenia:

— Żebyś ty, brachu, wiedział, jaki list do Weronki nasmarowałem oko jej zbieleje, jak przeczyta.

— Pewnieś znowu duby smalone napisał. Znałem jednego takiego jak ty. Chciał zaimponować swojej dziewczynie, że niby inne się o niego zabijają i pisał sam do siebie miłosne listy, które później w największej tajemnicy jej odczytywał. A sam się przy tym tak przejmował i roztkliwiał, że niejednokrotnie czytając własne listy rzewnie płakał.

— No, wariatem to jeszcze nie jestem — rozgniewał się Plewa.

Dopiero późnym wieczorem przywieziono powo-
wiant pocztę. Dla Plewy nie było nic.

— List mój wrzuciłeś? — zapytał przytupującego, „rozbijającego“ zmarznęte ręce kolege.

Ten zrobił niewyraźną minę i unikając wzroku Plewy odpowiedział wymijająco: — A jak ty myślisz?

Upłynęło kilka dni, parę tygodni. Odpowiedź od Weronki nie nadchodziła. Plewa pomstował na prze-

wrotność kobiecą, a w tym samym czasie Weronka zapłakiwała się, że Plewa nie pisze.

— Nie płacz, głupia dziewucho — pocieszała ją matka — wszystkie mężczyzny to są huncfoty. Taki jak światami pogoni, to o wszystkim zapomni.

Mrozy stopniowo brały coraz większe, śniegi pokryły ziemię. Narty stały się równie koniecznym przedmiotem ekwipunku strzeleckiego, jak karabin. Wszystkie rowy i pomniejsze kałuże zamarły, po rzeczce płynęła coraz gęściejsza, coraz grubsza kora.

W taki czas Plewie i Matuszowi wypadła służba na patrolu. Księżyc był w lisiej czapie i nad ranem gęsta mgła spowiła świat. Było cicho. Miało się wrażenie, jak gdyby człowiek się znajdował w ogromnym pudle, wyścielanym watą. Głos brzmiał głucho, rzekł byś, że ktoś mówi do pękniętego garnka. Z tej mlecznej mgły drzewa widmowo wyciągały swe ośnieżone gałęzie, przedmioty wyłaniały się i ginęły zgorzałym czekiwaniem. Jechać na nartach było dosyć trudno, aczkolwiek teren obaj strzelcy znali dobrze.

— Psiakość — zaklął Matusz — nasmarowałem narty „Medium“, a to nie był zbyt szczęśliwy pomysł. No, ale z góry mimo to niesie jak się patrzy. O, właśnie teraz. Śmigaj.

I Plewa śmigał. Wiatr mu szumił w uszach i przenikał za narty, płaszcza, które furkotały jak chorągiewka. W chwili, gdy pomyślał o tym, że taki zjazd

jest „boski“, z gęstej mgły na tor jego zjazdu wypłynęła sylwetka jakiegoś narciarza. Plewa zrobił rozpaczliwy wysiłek, by go wyminąć i dziwnym zbiegiem okoliczności tamten zrobił podobną ewolucję, wskutek której obaj z wielkim rozmachem wpadli na siebie.

Plewa runął głową w przód, zarywając się głęboko w śnieg i wtedy, na dołotkę, wjechał nań z impetem Matusz. Po chwilowym odurzeniu zaczęli wyplątywać ręce, kija karabiny i nogi, wreszcie z niejakim wysiłkiem zawisnęli się na kolana. A gdzie tamten?

Nieznamy narciarz był już daleko, chyłkiem zjeżdżając ku szumiącej opodal krą rzece. Plewa chwycił za karabin:

— Stać, bo strzelam. — powtarzając po chwili swój okrzyk. A gdy to nie poskutkowało — strzelił.

Co to? Lufa, zapchana śniegiem, wydęła się śmiesznie obok muszki. Karabin był bezużyteczny. Plewa bezradnie opuścił broń, zsunął czapkę z czoła i spojrział pytająco na kolegę. — Masz diable kaftan... — powiedział ponuro. — Będzie bal...

Matusz szybko przeczyścił lufę, poprawił sprzęczkę u narty i skomenderował: — Jazda za nim, bo jeszcze zwieje.

Wpadli na ślad uciekającego i zawzięcie ruszyli za nim, ku rzece.

Lód od obu brzegów posuwał się ku środkowi,



Plewa runął głową wprzód.

gdzie pasem szerokości jakichś czterech metrów płynęły nieforemne płyty kry, z szumem ocierały się o siebie.

Nieznajomy dopadłszy do rzeki wszedł ostrożnie na lód, posuwając się ku środkowi. Zawahał się chwilę, obejrzał. Widocznie nie miał meczyste sumienie, skoro wybrał raczej pewną śmierć, aniżeli dostanie się w ręce strzelców, którzy już „szusem” zjeżdżali ku brzegowi.

Machnął tedy ręką i wskoczył na krę, z niej na drugą i jeszcze dalej, bliżej tamtego brzegu. Kry chwilały się, tańczyły pod jego nogami... znów skoczył... uda mu się, ucieknie...

Matusz z podziwu i grozy otworzył szeroko oczy. — Szalony... Stój, bo strzelam. — krzyknął machinalnie:

Muszką poszukał tamtej postaci. Naciśnął spust. Lecz na sekundę wcześniej kra pękła, rozstąpiła się i człowiek prostopadle zapadł się w czarną otchłań wodną.

Z ust obu strzelców wyrwał się okrzyk zgrozy. Patrzyli na rzekę, gdzie jak korek pływała między kra głowa nieznajomego o wykrzywionych obłądnym przeżeniem rysach twarzy.

Pierwszy zorientował się Plewa. Błyskawicznie odpiawszy narty pobiegł po lodzie ku temu miejscu, gdzie prąd na kolanie rzeki podchodził aż do tego

brzegu, i tam klęknął, wyciągając kijek ku nadpływającemu ciału nieznanego, który walczył ostatkiem sił. Chwycił się kurczowo kijka, czepiał się rozpaczliwie skraju stałego lodu, podczas gdy prąd usiłował go wciągać pod spód, wreszcie wydostał się i tak przez dłuższą chwilę leżał nieruchomo, dysząc ciężko. W końcu przy pomocy obu strzelców wstał ze słowami: — Stawka przegrana...

W powrotnej drodze nie zamienili ani słowa, każdy zajęty swymi myślami.

W strażnicy był niezwykle ruch, twarze kolegów tajemnicze. Strzelec Sikiewicz, znany wesolek, stojący na posterunku alarmowym w bramie, wypiął brzuch, wydał dolną wargę i zapytał: — cożeście za fokę tu przyprowadzili! — Szczęście, że nie ma mrozu...

— Po chwili zaś dodał:

— Aleś, Plewa, piwa nawarzył...

Plewa zerknął na swój karabin i otarł pokryte zimnym potem czoło.

W kancelarii był kapitan, dowódca kompanii, i komendant miejscowego posterunku policji. Obaj strzelcy meldowali się służbiście, patrząc na zachmurzonego dowódcę.

— Zrewidować go — wskazał na przytrzymanego osobnika.

Potem uważnie przeglądał podany sobie portfel.

— Aa, to pan na moim odcinku próbował szczęścia? — zwrócił się do właściciela papierów. — Polo-

wali na pana bezskutecznie i długo... Dobry podryw.

Pojmany przestąpił z nogi na nogę i przeklnął słownie, jakby próbował coś powiedzieć.

— Matusz, zabrać go stąd i pilnować, jak oka w głowie — rozkazał kapitan.

— Panie kapitanie — nalewał się wreszcie nieznajomy — może by coś do nakrycia? Zimno...

— Dać mu coś, przygotować konie do drogi.

Teraz kapitan wziął od przodownika policji jakiś papier i pokazał go Plewie.

— Czy poznajecie to pismo?

Plewa przyjrzał się listowi bacznie. List do Weru-

— Tak jest, panie kapitanie.

— List ten jeden z miejscowych chłopów znalazł na drodze i oddał na posterunek policji. Koperta rozkleiła się od wilgoci i dlatego list przeczytano. Pisze tu do jakiejś dziewczyny o tym, że zabiliście niedźwiedzia. Ponieważ niedźwiedzie są, równie jak łosie, pod ochroną, policja z listu tego musiała zrobić użytek i sprawa poszła do prokuratora. Czy wy rozumiecie co to znaczy?

A zwracając się do przodownika policji dodał:

— Trzeba mieć pieskie szczęście, ażeby właśnie w mojej kompanii wydarzyła się taka paskudna historia. Przodownik ze zrozumieniem pokiwał głową.

Plewa wiedział, co znaczy „sprawa poszła do pro-



Czy poznajecie to pismo?

kuratora". Znaczyło to: śledztwo, może areszt zapobiegawczy, rozprawa sądowa, wyrok, kara więzienia, wstyd i hańba na całe życie... I spociał się jeszcze bardziej, aniżeli tam nad rzeką. Mienił się na twarzy, co wszyscy obecni wzięli za przyznanie się do winy.

Sierżant dowódca strażnicy szarpał, przejęty, połe swego munduru, zachodząc w głowę, kiedy to się stało i co Plewa zrobił z mięsem, ze skórą? Jak to mogło być, że na plecach jego strażnicy dzieją się takie niesłychane historie, a on nic o tym nie wie? Ładny kwiat! Koniec — końcem to się jeszcze na nim skrupi...

Panie ka-pi-kapi-ta-nie... — wyjąkał wreszcie Plewa — To wszystko, co w tym liście sto-stoi, to nie-nie-prawda...

Obliznął zaschłe wargi i ciągnął dalej: — Chciałem napisać list do Weruśki, do mej narzeczonej znaczy się, i nie miałem co, a list do narzeczonej musi być interesujący... Więc zmyśliłem tę historię o niedźwiedziu...

Pan kapitan i przodownik jednocześnie odwrócili głowy od okna, tak aby światło nie padło na ich twarze. Ramiona pana kapitana jakoś dziwnie drgały. Sierżant odetchnął głośno i ze złością spojrzał na Plewę. „Dam ci ja listy pisać“ — pomyślał.

Dopiero po chwili dowódca kompanii odezwał się dziwnym głosem:

— Ach, więc to cała ta historia w liście jest zmyślona? Słowem — okłamujecie swoich najbliższych? Sierżancie, powiedzcie: Czy dobry żołnierz może być łgarzem?

— Nigdy! — zawołał sierżant z przekonaniem, piorunując wzrokiem skruszonego Plewę.

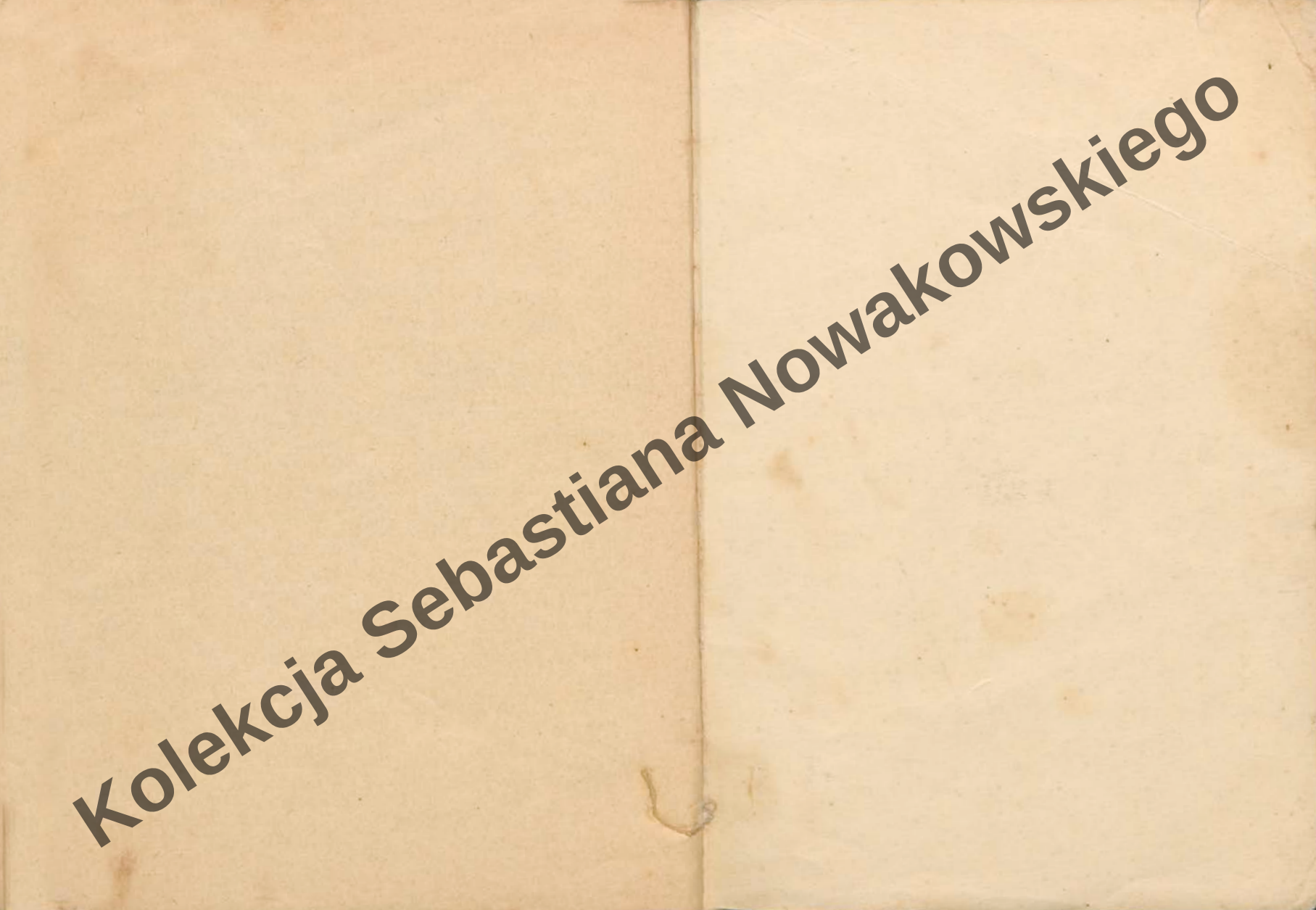
— Ponieważ listem tym i tak ośmieszyliście się wobec kolegów oraz biorąc pod uwagę dobry wynik dzisiejszego patrolu — puszczam w niepamięć te wasze głupie przechwałki i pana przodownika proszę aby całą tę sprawę umorzył. Wy zaś będziecie mieli nauczki na przyszłość, by w listach nie wypisywać niestworzonych historii. Możecie odejść.

Plewa zasalutował i wypadł, jak z łaźni.

W niepojęty sposób o historii z niedźwiedziem wiedziała już cała strażnica i na Plewę posypał się grad docinków, a przewisko „Myśliwiec“ towarzyszyło mu aż do końca służby w KOP-ie.

TREŚĆ:

<i>Ślad</i>	5
<i>Trafila kosa na kamień</i>	18
<i>Jestem analfabetą...</i>	35
<i>Obowiązek nade wszystko</i>	48
<i>Było dwóch braci</i>	59
<i>Kto pierwszy — ten lepszy</i>	73
<i>List musi być interesujący</i>	86



Kolekcja Sebastiana Nowakowskiego

a Sebastiana Nowakow

